

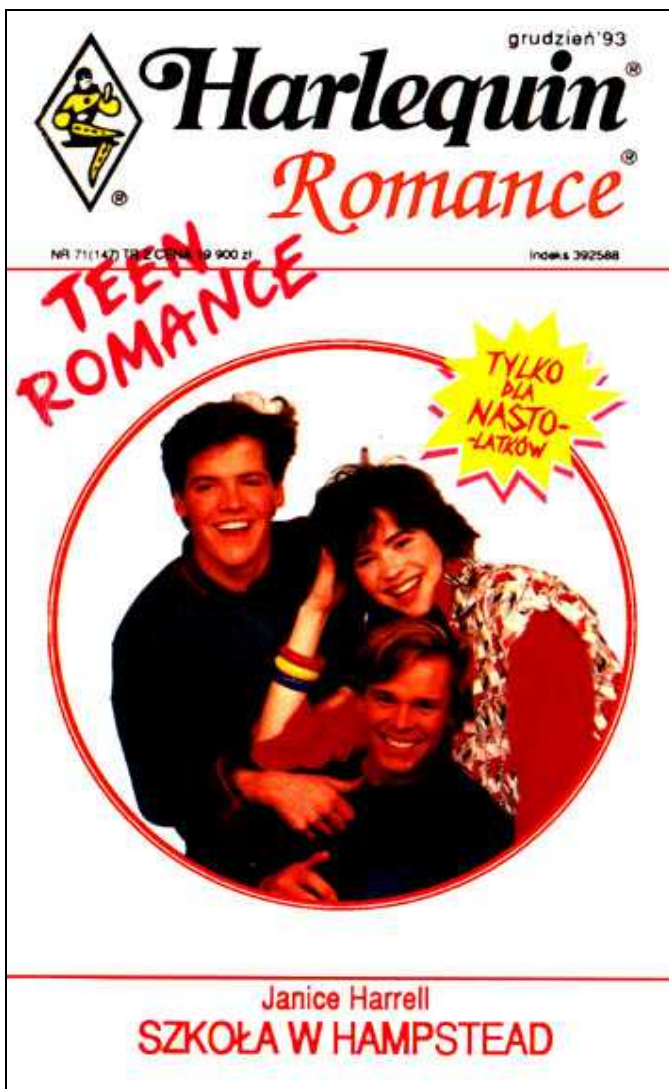
Janice Harrell

**Szkoła
w Hampstead**

Harlequin

Toronto • Nowy Jork • Londyn
Amsterdam • Ateny • Budapeszt • Hamburg
Madryt • Mediolan • Paryż • Sydney
Sztokholm • Tokio • Warszawa

Tytuł oryginału:
They're Rioting In Room 32
Pierwsze wydanie:
Crosswinds, Keepsake 1987
Przekład:
Michał Wroczyński



ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Przecież obiecałaś, że pokażesz mi, jak się wiąże węzły żeglarskie – zaprotestowałam.

Chris wepchnęła do nesesu kurtkę z kapturem.

– Żaden problem – odparła. – Za bardzo się wszystkim przejmujesz, wiesz o tym? – Popatrzyła krytycznie na cygańskie kolczyki i również wrzuciła je do torby.

– Ciągle nie rozumiem, dlaczego nie wyjedziecie za tydzień, jak to było ustalone?

– Posłuchaj: to pomysł taty, nie mój. Czy naprawdę sądzisz, że spędzałabym drugi rok liceum na łodzi, mając jakikolwiek wybór?

Rodzice Chris postanowili przeznaczyć całe oszczędności na rejs dookoła świata. Pomysł sam w sobie był zabawny i ja też miałabym ochotę na taką wyprawę, gdyby nie fakt, że nie mieliśmy jachtu, nie mówiąc już o oszczędnościach. Dla nas, kiedy przychodził rachunek ze sklepu warzywnego, następował sądny dzień. Tata był bezrobotny, ponieważ firma Bleeker Locks postanowiła całkowicie zlikwidować swoje filie na Florydzie.

Wtedy to ojciec Chris, wujek Henry, zaproponował memu tacie, żeby do chwili jego powrotu z rejsu prowadził interes rodzinny. Mój ojciec bez namysłu przyjął tę propozycję. Dlatego musieliśmy przenieść się do Północnej Karoliny, do domu wujka Henry'ego i ciotki Alice, i do czasu, aż gospodarze skończą żeglować dookoła świata, karmić ich kota oraz podlewać filodendron.

Byłam tym pomysłem bardzo poruszona. Wiedziałam, że jestem stworzona

do większych rzeczy niż te, które mogło zaferować mi miasteczko Pickipsee na Florydzie. czytałam trochę Zygmunta Freuda, prenumerowałam „Psychology Today” i nigdy nie przegapiłam w lokalnej telewizji jakiegokolwiek programu z rzeczownikiem „mózg” w tytule. Myślicie, że rozumiecie już, iż swoje zainteresowania traktowałam śmiertelnie poważnie. Naprawdę pochłaniały mnie problemy ludzkiego umysłu, a szkoła w Pickipsee i pierwsza klasa, w której było nas piętnastcioro, nie zapewniała dostatecznego rozwoju intelektualnego komuś z moimi zainteresowaniami i o moich horyzontach umysłowych. Pragnęłam poznać najnowsze prace o ludziach chorych nerwowo, o psychopatach czy maniakach. Odnosiłam wrażenie, że szkoła, do której uczęszczała Chris, stanowiła takie właśnie laboratorium ludzkich zachowań, jakiego szukałam.

Spodziewałam się tylko jednego – że w nowym środowisku Chris osobiście we wszystko mnie wprowadzi. Bardzo na to liczyłam.

Musiałam chyba wydać jakiś skamłący, pełen niepokoju jęk, gdyż Chris powiedziała:

- Chłopcy wszystko ci pokażą. Już z nimi o tym rozmawiałam.
- Jacy znów chłopcy?

Obrzuciła mnie karcącym spojrzeniem, zwinęła trzy swetry i umieściła je w rogu torby.

– Bix, Mark i Fuzzy. Jestem pewna, że opowiadałam ci o nich ze sto razy, kurczaczku. To moi najlepsi kumple. Zawarliśmy braterstwo krwi. Powiedziałam im, że pod moją nieobecność mają cię strzec jak żrenicy oka. Posłuchaj: otrzymują ciebie w spadku po mnie. Mają się tobą zajmować, a i ty możesz się zajmować nimi. Liceum w Hampstead w niczym nie przypomina słodziutkiej szkółki, do jakiej chodziłaś na Florydzie. Tutejsza buda to prawdziwy świat. Potrafi być zimny i okrutny. Będziesz potrzebowała przyjaciół.

– A jeśli nie spodobam się twoim kolegom?

– To nie ma żadnego znaczenia, czy się spodobasz, czy nie. Jesteś moją kuzynką, prawda? Powiedziałam im, że mają się tobą zająć. Więc się zajmą. To rzecz ustalona.

Zapięła torbę.

Zza okna dobiegł dźwięk klaksonu.

– To muszą być chłopcy – oznajmiła Chris. – Chodźmy.

Wyszłam za nią przed dom. Przy krawężniku stał wielki, biały samochód ze skrzydlatym tyłem, na zderzaku miał nalepkę z napisem: „Udław się, indyku”, a za tylnej szyby szczyrzyła do nas zęby brązowa, plastikowa czaszka.

– To oni! – wykrzyknęła z radością Chris. – Chłopcy! – zawołała. – Przedstawiam wam moją kuzynkę, Katy. Przyjechała dziś rano.

Drzwi samochodu otworzyły się i pojawiły się w nich długie nogi ubrane w

dżinsy, a za nimi ich właściciel – szczupły, przystojny chłopak.

– To Bix – wyjaśniła z dumą Chris. – Największy łobuz w Hampstead.

Bix miał jasne włosy koloru popiołu, krótkie na czubku głowy, a po bokach dłuższe i zaczesane do tyłu. Jego oczy były w kolorze bursztynu – jak u rysia. Miał na sobie białą koszulę z podniesionym kołnierzykiem i cienki, czarny krawat, dyndający tak niechlujnie, że w szkole w Pickipsee natychmiast dostałby za niego co najmniej dziesięć karnych punktów.

– Chrissie, złotko – odezwał się schrypniętym głosem. – Jutro czeka cię wielki dzień.

– Wcale nie chcę tam jechać – jęknęła Chris. – Powiniście mi towarzyszyć. To tyle.

Przez drzwiczki od strony jezdni wygramolił się wielki chłopak o niedźwiedziowatej sylwetce, ubrany w czarny podkoszulek.

– Myślisz, że bym nie chciał – odparł przeciągając nieco słowa. Musiał mieć blisko metr dziewięćdziesiąt wzrostu i choć nie był gruby, twarz miał lekko pucołowatą jak ktoś, kto od kołyski pasjami uwielbia pizzę i koktajle czekoladowe. Popatrzył na mnie łagodnymi oczyma, w których malowała się ciekawość.

– Ten wielkolud to Mark – poinformowała Chris. – Jeśli będziesz chciała się czegoś dowiedzieć, pytaj jego. On zna tu wszystko i wszystkich.

Na końcu z auta wysiadł kierowca, chłopak z prostymi włosami koloru musztardy, ubrany w parę spranych do granic możliwości dżinsów, które na jednym kolanie były przepasane czarną chustką. Chłopak oparł kościste łokcie o dach samochodu i wyszczerzył do nas zęby.

– Fuzzy – przedstawiła go Chris. – To już cała paczka.

No cóż, chciałam poznać nowe, odmienne typy ludzkie, a ci chłopcy z całą pewnością byli inni od moich kolegów z Pickipsee. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że Chris przyjaźniła się wyłącznie z chłopakami. Chodzi mi o to, że jeśli człowiek nie jest przyzwyczajony do męskiego towarzystwa, to trzech chłopaków stanowiło już całą masę mężczyzn. Z punktu widzenia ludzkich zachowań poznanie ich mogło okazać się niebywale ciekawe i inspirujące, ale z osobistego punktu widzenia było po prostu zatrważające.

– Wykombinowaliśmy, że ściśniemy się wszyscy w samochodzie i pojedziemy do Lakeside – oznajmił Fuzzy.

– Ładuj się, Chris – dodał Mark. – Masz ostatnią okazję. Ty, Katy, również wskakuj.

– Zaraz, zaraz, chłopcy – przerwała mu Chris. – Ja nigdzie nie jadę. Ojciec zabronił mi ruszać się gdziekolwiek dziś wieczorem, bo jutro wyjeżdżamy już o szóstej rano.

– O szóstej rano?! – zdumiał się Mark. – Coś ci się chyba pomyliło. O

szóstej wstają tylko skazańcy, których wyprowadzają z celi śmierci przed pluton egzekucyjny.

– Mnie tam już wszystko jedno – odparła zrezygnowana Chris. – Po prostu nie mieści mi się w głowie, że drugą klasę zrobię korespondencyjnie.

– Przyślesz nam kartkę z Tahiti – pocieszył ją Bix.

– Przyślę – odparła łamiącym się głosem. Oczywiście się zaszklily.

– Tylko nie rycz – ostrzegł Fuzzy.

– Nie będę – odparła Chris, dzielnie powstrzymując łzy. – Posłuchajcie, jutro któryś z was musi tu przyjechać i zabrać Katy do szkoły. Ona nie umie prowadzić samochodu.

Koledzy Chris obrzucili mnie osłupiałymi spojrzzeniami i wykrzyknęli *unisono*:

– Nie umiesz prowadzić samochodu?

Poczułam, że ze wstydu zaczyna mnie palić twarz. – Żaden problem – odparł po chwili namysłu Bix. – Nauczę ją.

Zauważyłam, że po tych słowach pozostali popatrzyli dziwnie po sobie.

– Więc może przyjedzie po mnie Bix – powiedziałam niepewnie.

– Och, naturalnie, że może – odparł grobowym głosem Mark.

– Zatem ustalone – podsumował Bix. – Będziemy tu jutro za piętnaście ósma.

Wsiedli do samochodu.

– Katy, dlaczego z nimi nie pojedziesz? – zapytała Chris. – Nie musisz siedzieć w domu tylko dlatego, że ja nie mogę jechać.

– Och, w porządku – odparłam. – Myślę, że lepiej będzie, jeśli zostanę z tobą i pomogę ci się do końca spakować.

Kiedy zachrypiał silnik, Bix klepnął wychyloną przez okno ręką bok samochodu, a Mark zawołał:

– *Bon voyage*, Chrissie!

Wielki biały pojazd strzelił z rury wydechowej i odjechał, zostawiając za sobą smugę gęstych, czarnych spalin.

– Co ci się stało? – spytała Chris. – Czemu nie pojechałaś z nimi? Przecież wiesz, że jestem już spakowana i nie potrzebuję twojej pomocy.

– Przecież ja tych chłopaków nawet nie znam.

– Nie bądź dzieckiem. Ja ich znam od trzeciej klasy szkoły podstawowej. To kapitalni ludzie.

Chris zachowywała się tak, jakby nie do końca zdawała sobie sprawę, że stanowimy odmienne typy ludzkie. To prawda, że byliśmy trochę do siebie podobne. Obie miałyśmy po metr sześćdziesiąt wzrostu, krótko obcięte, kasztanowe włosy i małe nosy. Poza tym charakteryzowałyśmy się zdecydowaniem typowym dla Callahanów. Ale na tym podobieństwo się kończyło. Dla Chris szczytem szczęścia był ogromny bankiet, dla mnie –

dobra książka. Chris uwielbiała jazdę na nartach, ja wolałam trzymać się pewnie ziemi. Chris należała do ludzi, którzy nie wiedzą, czym są trudności, ja uwielbiałam rozgryzać wszelkie problemy. Skoro więc chłopcy ci znali Chris od trzeciej klasy szkoły podstawowej, to z całą pewnością natychmiast dostrzegą dzielące nas różnice. Nie rozumiałam, skąd moja kuzynka czerpała tyle optymizmu twierdząc, że bez trudu wślizgnę się na jej miejsce w paczce.

Istniał jeszcze jeden problem, z którym musiałam sobie poradzić. Nie byłam przekonana, czy to towarzystwo mi odpowiada. Nie należałam do ludzi, którzy kochają samochody ozdobione ludzkimi czaszkami. Powiemy wprost – czaszki wcale mnie nie bawiły.

Niemniej, jeśli szło o najbliższą przyszłość, musiałam przyznać przed samą sobą, że nie miałam innego wyboru. Poza moją ośmioletnią siostrą Caroline i moimi rodzicami, nie znałam w mieście nikogo.

– Ten Bix jest aż nieprzyzwoicie przystojny – zauważyłam, kiedy wracałyśmy do domu.

– Ba! – odparła z dumą Chris. – I nikt mu jeszcze nie złamał nosa.

– A czemu ktoś miałby mu go łamać? – zainteresowałam się.

Kiedy weszłyśmy do domu ujrzałam, że moja mama i ciotka Alice siedzą w jadalni przy stole i ustalają ostateczną listę niezbędnych czynności: kiedy podlewać kwiaty, kiedy karmić rybki, jak załatwić wywóz śmieci i tak dalej. Przeszłyśmy więc szybko do pokoju Chris i tam kontynuowałyśmy rozmowę.

– Więc czemu ktoś chciałby łamać Bixowi nos? – powtórzyłam pytanie.

Chris usiadła na łóżku i popatrzyła na mnie z powagą.

– Musisz pomóc pozostałym chłopakom pilnować Bixa. On od razu rwie się do bójk. W budzie nie jest to jeszcze takie groźne, bo wszyscy schodzą mu z drogi. Kłopoty zaczynają się dopiero wtedy, gdy wybieramy się do miasta i spotykamy z uczniami z innych szkół. Tam sytuacja potrafi naprawdę się zaognić. Tak więc, jeśli Bix będzie chciał zacząć jakąś bijatykę, szepnij delikatnie jego przeciwnikowi, z kim ma do czynienia. Chodzi o to, że jeśli jakieś leszcze zrozumieją, że Bix zetrze ich na miazgę, przeważnie ustępują mu pola i jest to, uwierz mi, najlepsze rozwiązanie. – Chris objęła się ramionami i zadrzała. – Nie cierpię widoku krwi – dodała.

W pełni podzielałam jej opinię. Chrząknęłam.

– Interesujące – powiedziałam. – Jak myślisz, skąd u niego biorą się takie krwiożercze instynkty? Może dzieje się z nim coś niedobrego?

Chris wzruszyła ramionami.

– Zawsze taki był. Wszyscy wiedzą, że z Bixem lepiej nie zaczynać.

– A jeśli ja go zdenerwuję i uderzy mnie?

– Ciebie? Nie bądź głupia! Przecież jesteś dziewczyną. Na dziewczynę Bix nigdy nie podniesie ręki.

Uświadomiłam sobie nagle, że czasami dobrze jest być dziewczyną.

- Czy powinnam jeszcze coś wiedzieć? – zapytałam.
- No cóż, Fuzzy nie należy do najświatlejszych umysłów na świecie. Możesz mu coś przez trzy dni wbijać do łepetyny i jak grochem o ścianę.
- A ten wielkolud? Co o nim powiesz ciekawego?
- O Marku? Nim się nie musisz przejmować. Sam sobie świetnie radzi. Jezu Chryste, ile bym dała, żebyś to ty popłynęła dookoła świata, a ja została w domu! – wykrzyknęła nieoczekiwanie.
- Też bym tak chciała.! – odparłam szczerze. Czułam nieprzyjemny ucisk w żołądku. Po raz pierwszy zwątpiłam w to, że pobyt w szkole w Hampstead rzeczywiście, poszerzy moje horyzonty umysłowe.
- Zgodnie z planem rodzina Chris o szóstej rano następnego dnia była gotowa do wyjazdu. Mój tata miał odwiedzić ich na przystań, gdzie czekał dalekomorski szkuner.
- Narzuciłam na nocną koszulę szlafrok i wyszłam przed dom, żeby się pożegnać. W mętnym świetle świtu wszyscy mieli szare twarze, nawet wujek Henry, który promieniał energią i entuzjazmem.
- Och, znów ujrzę morze! – wykrzykiwał. – Tylko woda i niebo! Ciekaw jestem...
- Henry – przywołała go do rzeczywistości ciotka Alice. – Nie zapomniałeś pigułek na alergię?
- Nie będę ich potrzebować. Na wysokich falach nie ma żadnych pyłków.
- Wujek Henry zajął miejsce z przodu, obok mego taty.
- Jedźmy, Alicjo – powiedział. – Czas ucieka, a odpływ nie będzie czekał, aż się zbierzemy.
- Główny wyłącznik prądu jest w ściennej szafie w korytarzu! – zawołała jeszcze do mojej mamy ciotka Alice. – I zapomniałam ci powiedzieć, moja droga, że ostatnio mieliśmy trochę kłopotów z odpływem wody w dużej łazience.
- Powodzenia, Katy! – zawołała Chris. – Napisz!
- Kiedy samochód ruszył, długo razem z mamą machaliśmy im na pożegnanie.
- No cóż, kochanie, zostałyśmy same – powiedziała na koniec moja mama, obejmując mnie ramieniem i szeroko się uśmiechając.
- Jeśli chodzi o mnie, czułam, że kompletnie straciłam pewność siebie, a uśmiech postanowiłam zachować na później, kiedy uda mi się przeżyć pierwszy dzień w liceum w Hampstead.

ROZDZIAŁ DRUGI

Zaskoczyło mnie, że następnego dnia rano Mark przyjechał sam. Przybył klasycznym, niebieskim studebakerem, który sprawiał wrażenie, jakby został niedawno odnowiony przez pieczołowite nałożenie piętnastu warstw lakieru. Lśniący wspaniale w promieniach porannego słońca pojazd zatrzymał się przed frontowymi drzwiami mego domu.

– Bix zapomniał o szkolnej karze – wyjaśnił Mark, kiedy wsiadałam do samochodu.

– Jakiej znów karze? – zapytałam nie do końca pewna, czy naprawdę chcę się tego dowiedzieć.

– Przerzucił przez balustradę we wschodnim skrzydle szkoły Billy’ego Tylera. Billy oświadczył wprawdzie, że był to zwykły przypadek i nie ma w tym winy Bixa, ale trener odparł, że mimo to da mu karę, tak kontrolnie, żeby pamiętał, iż w przyszłości nie ma prawa robić więcej takich przypadków. Mówię ci, niebezpiecznie jest przebywać w pobliżu Bixa. Całkiem mu odbiło. Od czasu, kiedy zwariował na punkcie Celi Morrison, łązi wkoło jak lunatyk, mając nadzieję, że spotka kogoś na tyle głupiego, kto zechce wdać się z nim w bójkę.

Natychmiast poczułam, że moje subtelne rozumienie ludzkich zachowań może okazać się w tym przypadku bardzo użyteczne.

– I nic nie da się zrobić? – zapytałam. Wyszczerył zęby.

– Porozmawiasz z Celią? Powiesz jej, żeby była miła dla Bixa. Nie, to beznadziejne... ale, ale, czy już ktoś ci mówił, że bardzo przypominasz Chris?

– To przez te nasze nosy – odrzekłam.

– Tak, nos. Masz rację. Nadaje ci wygląd bardzo drogiego kota. Takiego z puszystą sierścią. Persa. Wiesz, jakiego mam na myśli?

– Tak naprawdę to bardziej jestem psem. Czy w tej szkole da się żyć?

– Najtrudniej jest tutaj zachować zdrowy rozsądek i nie dać się zwariować – odparł Mark, skręcając w szeroką aleję. – Musisz cały czas pamiętać, że w naszej budzie wszyscy chcieliby być gdzieś indziej, niż są. To sprawia, że czasami świrują. Pani Wiggins, nauczycielka angielskiego, pragnie mieszkać w Paryżu i pisać wielką, amerykańską powieść. Trener Mather marzy o grze w bostońskich Red Sox. Ja chciałbym wylegiwać się na plaży, a Bix trafić na wojnę... Nie, to nie tak. Bix jest na wojnie. Tak czy siak, sama się przekonasz, że liceum w Hampstead jest dziwnym miejscem. Cała sztuka przetrwania w nim polega na tym, żeby nie brać niczego na serio. Tylko to musisz robić. A skoro już mowa o budzie, masz ją przed nosem.

Szkoła była usytuowana u podnóży wzgórza i składała się z szeregu jedno- i dwupiętrowych budynków zajmujących kilka akrów trawnika. Z jednej strony przylegały do niej dwa boiska: piłkarskie i baseballowe. Na ulicy przed frontem głównego budynku widać było masę samochodów, a wokół poszczególnych pawilonów ogromną liczbę kłębiącej się młodzieży, która z daleka wyglądała jak fale czerwonych, żółtych i niebieskich punkcików.

Kiedy podjechaliśmy bliżej. Mark skręcił w pierwszą ulicę po wschodniej stronie kompleksu szkolnego i wjechał na parking, którego strzegła tablica: „Tylko dla uczniów. Konieczne przepustki”. Tutaj dopiero zrozumiałam pełne znaczenie słowa „zatłoczony”. Kiedy znaleźliśmy się już na terenie parkingu, był on tak pełen ludzi i pojazdów, że Mark musiał zwolnić do pięciu kilometrów na godzinę. Ktoś nieoczekiwanie uderzył po mojej stronie otwartą dłońią w drzwiczki samochodu. Wystraszona podskoczyłam tak wysoko, że prawie uderzyłam głową w podsufitkę. Za szybą pojawiła się roześmiana twarz Fuzzy’ego.

– Jak Chris? Wyjechała bez przeszkód? – zawołał.

– Wyjechała! – odkrzyknęłam.

– Zabieraj z auta swoje brudne łapska, Fuzz! – wydarł się Mark.

Fuzzy roześmiał się szyderczo, wyciągnął z kieszeni chusteczkę do nosa i ostentacyjnie zaczął wycierać ze lśniącego lakieru ślady palców.

Studebaker powoli przepychał się do przodu. W końcu Mark znalazł jakąś lukę w sznurze zaparkowanych pojazdów i natychmiast wjechał w nią z szybkością promienia laserowego.

Kiedy otworzyłam drzwiczki samochodu, usłyszałam dochodzący z sześciu stron jazgot dzwonek. Natychmiast porwał mnie za sobą tłum opuszczającej parking młodzieży.

– Po lekcjach czekaj na mnie przy samochodzie! – krzyknął Mark, przykładając do ust zwinięte w trąbkę dłonie. Potem już nic nie słyszałam

oprócz donośnego brzęczenia elektrycznych dzwonek, dobiegającego z najbliższych budynków.

Kiedy wreszcie znalazłam się w sekretariacie, bez kłopotów zapisałam się do odpowiedniej klasy. To było proste. Dużo trudniej przychodziło mi przyzwyczaić się do takiej masy ludzi. W oficjalnym informatorze wyczytałam, że liceum w Hampstead liczy tysiąc pięciuset uczniów, ale teraz nabrałam podejrzeń, że dane te coś przemilczały, na przykład to, że w wyniku jakiegoś tajemniczego wypadku w laboratorium chemicznym owych tysiąc pięciuset uczniów zostało nagle sklonowanych. Na poparcie tej tezy mogę przytoczyć tylko fakt, że wszystkie te dzieciaki były bliźniaczo do siebie podobne.

W Hampstead po prostu panował nieprzytomny tłok. Czułam się prawie jak w Kalkucie. Wydawało mi się, że gdybym upadła, natychmiast stratałoby mnie tysiące stóp i dopiero wieczorem moje zwłoki wymiotłyby sprzątaczkę.

A najgorsze w tym wszystkim było to, że nikogo nie znałam. Zastanawiałam się, czemu wcześniej nie zdawałam sobie sprawy z tego, jakie to przerażające uczucie, kiedy nie zna się w szkole nikogo. Pod koniec trzeciej pauzy zaczynałam podejrzewać, że nigdy już nie zobaczę znajomej twarzy. Właśnie wtedy w korytarzu zachodniego skrzydła usłyszałam krzyk Bixa:

– Katy!

Próbując zwrócić na siebie moją uwagę, zderzył się z jakimś ciemnowłosym chłopcem w okularach. Chłopiec pochylił się i zaczął zbierać porozrzucane książki.

– To moja wina – sumitował się. – Przepraszam, Bix. Bardzo przepraszam.

Spostrzegłam zresztą, że Bixowi, kiedy siedł w moją stronę, wszyscy natychmiast ustępowali z drogi.

– Jak leci? – spytał. – Podobały się lekcje?

– Już teraz widzę, że nie będzie łatwo – odparłam. – Na razie tylko tyle mogę powiedzieć. Muszę się zdrowo zastanowić nad tym, czy nadganiać wasz program z chemii, czy też dać sobie spokój.

– Daj sobie spokój – poradził Bix. – Najpierw musimy umówić się na naukę jazdy. Co myślisz o sobocie? Zadzwoń do ciebie.

Kiedy się oddalał, potrafiła go jakaś dziwaczna postać z wygoloną głową i kolczykami z piórek w uszach. Chłopak natychmiast zaczął przeproszać:

– Wybacz, Bix. To moja wina. Tylko moja.

Żałowałam, że nie wypytałam bliżej Chris o kwalifikacje Bixa jako kierowcy. Ale ostatecznie – cóż mogło być w tym groźnego? Może powinnam poprosić tatę, żeby to on ponownie zaczął mnie uczyć. Cały problem bowiem zaczął się od tego, że podczas pierwszej lekcji uderzyłam w nowego plymoutha sąsiadów. Tata oświadczył wówczas, że muszę jeszcze rok lub dwa poczekać, aż jego nerwy i nerwy mamy uspokoją się na tyle, że

będą mogli udzielić mi drugiej lekcji. Nie miałam więc wielkich nadziei, że teraz nagle zmieniliby zdanie.

Na czwartej lekcji mieliśmy angielski, mój ulubiony przedmiot. Z angielskiego zawsze miałam celujące stopnie, więc kiedy już znalazłam odpowiednią pracownię, spokojna i zadowolona zajęłam miejsce w trzecim rzędzie. Nauczycielka, pani Wiggins, miała bladą cerę i bezbłędną wymowę, charakterystyczną dla wykładowców angielskiego. Kąciki jej oczu otaczały lekkie zmarszczki, co świadczyło o tym, że lubi się śmiać. Miałam nadzieję, że ma poczucie humoru.

Tego dnia mówiliśmy o Byronie, Shelleyu, Keatsie i innych poetach, co było bardzo ciekawe, ale potem pani Wiggins popatrzyła na zegarek i oświadczyła:

– Jak obiecałam, dzisiaj przez ostatnich dziesięć minut odbędziemy szybką debatę na temat, który wzbudza ostatnio w Hampstead wiele namiętności i kontrowersji. – Napisała na tablicy: „Teza: boisko do futbolu powinno zostać przekształcone w pole ryżowe”.

Początkowo sądziłam, że to jakiś żart, ale kiedy rozejrzałam się po klasie, zobaczyłam, że nikt się nie śmieje. Wszyscy zachowywali się tak, jakby pani Wiggins najpoważniej mówiła o polach ryżowych. Polach ryżowych? To jakieś kpiny! Niemniej fakt pozostawał faktem: temat ten wzbudził dużo większe emocje i zainteresowanie niż Byron i Shelley. Uczniowie wyprostowali się w krzesłach i wyczekująco patrzyli w stronę katedry.

Na podium wstąpił szczupły chłopiec z wydatną grdyką, rozłożył plik notatek i zaczął mówić, w której opowiadał się za założeniem pola ryżowego. Oświadczył, że uprawianie przez uczniów ryżu wyrobi w nich umiejętność rynkowego szacowania płodów rolnych, że wyhodowany ryż będzie można sprzedawać, a zarobione pieniądze przeznaczyć na modernizację szkoły, na przykład na powiększenie parkingu albo też przekazać cały plon głodującym. Kiedy skończył, rozległy się entuzjastyczne okrzyki.

Po nim na katedrę wszedł chłopak o tak szerokich ramionach, jakby pod szkolnym, zielonym swetrem przechowywał kilka solidnych szynek. Rozłożył notatki i przesłał słuchaczom promienny uśmiech. Zauważyłam, że ma ogromne zęby. Zanim jednak powiedział choć słowo, w twarz uderzyła mnie nagle rzucona przez kogoś garść ryżu. Teraz już dzieciaki bez skrępowania zaczęły wyciągać całe woreczki ryżu i ciskać ziarno pełnymi garściami. Był to po prostu ryżowy deszcz. Kiedy ugodziła mnie w ucho, niczym śrut, porcja białych ziaren, zasłoniłam dłońmi głowę. Chłopak o szerokich ramionach chwycił poprzedniego mówcę, tego z wielką grdyką, i zaczął nim potrząsać jak terier swoją ulubioną plastikową zabawką.

Kiedy wyciągnęłam z buta kilka zabłąkanych ziarenek ryżu i popatrzyłam przed siebie, ujrzałam, że pani Wiggins wcale nie sprawia wrażenia

zadowolonej. Skrzyżowała ramiona na piersi i popatrzyła na nas lodowatym wzrokiem. Chwilę jeszcze rozlegały się śmiechy i gwizdy, ale kiedy opadły ostatnie ziarna, w klasie zapadła cisza jak makiem zasiał. Wtedy odezwała się pani Wiggins:

– Joshua, pójdziesz do sekretariatu i poprosisz o miotły, którymi posprzątaacie klasę.

– Ależ pani profesor... Nie zdążę tego zrobić przed lunchem.

– Jesteśmy w tej szczęśliwej sytuacji, że mamy ryżu pod dostatkiem – odparła słodko. – Nikt z was nie sprawia wrażenia zagłodzonego. Celia i Katy, które nie brały udziału w tym szaleństwie, mogą pójść na lunch. Reszta zostanie i pomoże Joshui sprzątać.

Kiedy wychodziłam z Celią z pracowni, wszyscy byli już na czworakach i zbierali ryż.

– Podejrzewam, że żyłam dotąd jak pod szkłem – zauważyłam, kiedy słyśmy w stronę jadalni. – Nigdy jeszcze nie byłam w samym środku ryżowej burzy.

Celia uśmiechnęła się i na jej policzkach pojawiły się dołeczki. Była drobną dziewczyną o twarzy w kształcie serduszka i o falistych, sięgających prawie pasa jasnoblond włosach.

– Ja też nie – przyznała się. – Prawdę mówiąc prosili mnie, żebym przyniosła trochę ryżu, więc wiedziałam, co się kroi, ale nie chciałam się w to mieszać. Mam ważniejsze sprawy na głowie. – Wzruszyła ramionami. – Myślę, że takie demonstracje pasują do kogoś, kto nie ma nic do roboty.

– Demonstracje? Naprawdę sądzisz, że chcą zamienić boisko futbolowe w pole ryżowe?

– No cóż, nikt nie robił poważniejszych projektów, żeby zalać je wodą. Wydaje mi się, że była to po prostu demonstracja przeciw futbolowi.

– Może nie powinnam wydawać pochopnych sądów, ale szkoła w Hampstead nie należy chyba do typowych placówek.

– Tak myślisz? – spytała, patrząc na mnie z ciekawością. – Wiesz, sama się często nad tym zastanawiam. Tutejsi ludzie robią wiele rzeczy, które wydają się nie mieć sensu, ale tak sobie kombinuję, że musi być jakaś przyczyna, dla której to właśnie robią.

– Kierują nimi podświadome motywy – odparłam. – O to w tym wszystkim chodzi. Czytałaś cokolwiek Freuda?

– Naprawdę czytasz Freuda? – zapytała Celia. Jej zdumienie sprawiło mi przyjemność. Weszłyśmy do jadalni i stanęłyśmy w kolejce.

– No cóż, zaczęłam od „Interpretacji snów” – wyjaśniłam. – Każdego ranka, zaraz po przebudzeniu, próbowałam zapisywać swoje sny. Freud twierdzi, że to najlepszy sposób badania marzeń sennych. Naturalnie, kiedy tak nagle się tu przeprowadziliśmy, zarzuciłam tę praktykę.

– Myślę, że nie jest prosto znaleźć się nagle w nowym miejscu, gdzie nikogo się nie zna – powiedziała Celia.

– Poznałam kilku chłopaków. Czy znasz Fuzzy’ego Wallace’a, Marka Metcalfa lub Bixa Bixby’ego?

Celia wyraźnie zeszytniała.

– Och, naturalnie, że znam.

– Wyglądają na fajnych – powiedziałam z nadzieją w głosie.

– Bardzo fajnych – odparła zimnym tonem. Początkowo nie wiedziałam, że palnęłam gafę, ale szybko przypomniałam sobie, co już słyszałam o tej dziewczynie. Miała przecież na imię Celia. Ktoś mi rano mówił o Celii. Musiała to być dziewczyna, w której tak beznadziejnie zakochał się Bix.

– Czy należysz do jakiegoś szkolnego klubu? – zapytałam. – Może i ja powinnam się zapisać? Poznam ludzi...

– Należę do Klubu Łacińskiego – odparła Celia. – Ale w tym roku nie byłam jeszcze na żadnym spotkaniu. Praca w szkole i gra na flecie nie pozostawiają mi wiele wolnego czasu. Niektórzy ludzie nie rozumieją, że ktoś, kto stawia sobie wysokie cele, nie ma czasu na spotkania, włączenie się po Lakeside Avenue czy też wysiadanie u Brendlesa.

– Doskonale to rozumiem – odparłam szybko. – Też zawsze stawiam sobie wysokie cele. Chcę zostać psychologiem albo psychiatrą i nie pozwalam, żeby cokolwiek odrywało mnie od moich zajęć.

– Przyjaźń to coś innego – ciągnęła Celia. – Ale zaangażować się w wielki romans z chłopakiem i zrezygnować ze swoich ambicji to czysta głupota. W lutym mam przesłuchanie przed komisją z Allstate Band i jeśli chcę trafić do tej orkiestry na jedno z trzech miejsc, muszę się skoncentrować tylko na tym. Ale tutaj niezbyt wysoko ceni się talent i ambicje.

– Och, zgadzam się z tobą w zupełności – odparłam. – Absolutnie. Wiele dziewcząt zachowuje się tak, jakby chłopcy byli najważniejszą sprawą w ich życiu. Kiedy przechodzi obok nich jakiś naprawdę przystojny chłopak – ktoś w rodzaju, na przykład, Bixa – przemieniają się w krwiożercze harpie.

Celia wzięła tacę i położyła na niej sztućce.

– Jeśli już nawet miałabym związać się z jakimś chłopakiem – czego naturalnie nie mam zamiaru robić – to ktoś, kto tylko patrzy, gdzie by wywołać bójkę, będzie ostatnim, którego wybiorę. W naszym wieku jest to już po prostu śmieszne.

W pełnym znaczenia milczeniu nałożyłam sobie na talerz spaghetti i klopsiki. Celia bez słowa wzięła swoją porcję i wcale się nie zdziwiłam, kiedy nie czekając na mnie ruszyła do stołu. Ale czułam lekkie rozczarowanie. Jadalnia sprawiała wrażenie obcego, nieprzyjaznego i niegościnnego świata.

– Katy? – zawołał ktoś.

Odwrociłam się. Przy jednym ze stolików siedzieli Fuzzy, Mark i Bix. Mark

skinął na mnie, żebym się do nich przysiadła. Dziękowałam w duszy Chris, że zapisała mnie w testamencie swojej paczce. Odczuwałam bezbrzeżną ulgę, widząc przyjazne, znajome twarze.

Kiedy tylko usiadłam, Bix wlepił we mnie źrenice barwy bursztynu.

– Nie wiedziałem, że zdążyłaś już poznać Celię – odezwał się drżącym z emocji głosem.

Szybko wzięłam do ust kawałek klopsika.

– Jesteśmy w jednej klasie angielskiego – oświadczyłam, pragnąc rozpaczliwie zmienić temat rozmowy na mniej drażliwy. – Nawet nie wyobrazasz sobie, co tam się dzisiaj działo. Wszyscy rzucali ryżem!

– Znów te cholerne pola ryżowe. Rozumiem. Czy to klasa pani Wiggins? – zapytał Mark. – Kto opowiadał się za tym ryżem?

– Taki chudy chłopak z ogromną grdyką – odparłam.

– Ernie Findlater – odgadł natychmiast Fuzzy. – Stary cwaniak. Założę się, że gadał mądrze. Ostatnio za każdym razem, kiedy spotykałem go na przystanku autobusowym albo podczas lunchu, czytał coś na temat ryżu.

– On naprawdę pożera te książki – dodał Mark. – Dlatego jest taki mądry. Idą mu bezpośrednio do mózgu.

– Naprawdę? – zdziwił się Fuzzy.

– Czy Celia wspominała coś o mnie? – spytał cicho Bix pochylając się w moją stronę.

– Bezpośrednio nie – odparłam, odwracając gwałtownie twarz. – Tak naprawdę to rozmawialiśmy o naszych ambicjach i o tym, że dziewczyna nie powinna angażować się w znajomość z chłopcem, ponieważ ją to rozprasza.

Bix wydał niski, chrapliwy pomruk, coś w rodzaju „Agrhhh”. Zamaszystym ruchem strącił ze stolika tacę i zerwał się z krzesła. Wpadł prosto na drobny blondynek, który schylił się właśnie, by podnieść leżącą tacę. Uderzył go całym ciałem. Chłopak upadł. Po podłodze pociekła strużka mleka z już prawie pustego kartonu.

– Hej, wlałeś prosto na mnie! – krzyknął blondyn poprawiając okulary.

Bix delikatnie pomógł mu wstać.

– Jeśli masz coś do mnie – wycedził – chętnie spotkam się z tobą po lekcjach.

Blondynek, poprawiwszy okulary, najwyraźniej odzyskał ostrość widzenia.

– Nie, nie – powiedział. – To moja wina. Często bywam niezgrabny. Mój ojciec zawsze mi mówi: „Michael, jesteś taką niezdarą, bałwanie.” Przepraszam. Na przyszłość będę uważał.

Po tym przemówieniu szybko ruszył w stronę kosza na śmieci, pozostawiając Bixa samego nad rozlanym mlekiem. Poczuliśmy ulgę, kiedy ofiara zniknęła z jego pola widzenia. Nasz przyjaciel odwrócił się na pięcie i opuszczył jadalnię.

– No, no – mruknęłam z podziwem. Mark zabrał się za kolejny deser.

– Wiem, że Bixa nic to nie obchodzi – oświadczył. – On nigdy nie przykłada wielkiej wagi do jedzenia, ale ja uważam, że scena, którą nam zaserwował, nie wpływa najlepiej na trawienie.

– Wydaje mi się, że u Celi nie ma najmniejszych szans – zauważyłam. – Ona cały czas pracuje. A poza tym ma awersję do bójek.

– Tak ci powiedziała? – zapytał Mark, podnosząc do ust widelczyk z kawałkiem ciastka.

– Ona jest bardzo impulsywna. – Oparłam twarz na dłoni i długą chwilę myślałam. – Ale masz rację, nienawiść jeszcze o niczym nie świadczy. Psychologowie twierdzą, że najgorsza jest obojętność. Być może uda się nam jakoś pomóc Bixowi.

Mark popatrzył na mnie z uwagą.

– Myślę, że lepiej zostawić ich w spokoju. Niech sami załatwiają swoje sprawy.

– Musimy jakoś wyperswadować mu te bójkę – powiedziałam.

– To niemożliwe.

– Czasami ludzie mają do siebie niewłaściwe podejście – wyjaśniłam. – Przykładem może być kara, jaką trener Mather nałożył na Bixa za historię z Billem. Jest rzeczą powszechnie znaną, że nie tyle należy karać za przewinienia, ile nagradzać dobre postęпки. W psychologii ludzkich zachowań nosi to nazwę „pozytywnej zachęty”. Kapujesz, za każdym razem, kiedy ktoś zachowa się zgodnie z oczekiwaniami, daje mu się jakąś drobną nagrodę, na przykład paczkę gumy do żucia. Daje mu się tę gumę do żucia za każdym razem, kiedy zachowa się zgodnie z oczekiwaniami i nawet nie wiadomo kiedy ma się już do czynienia z odmienioną osobowością.

Fuzzy zmarszczył brwi. Z ogromnym wysiłkiem przetrwał to, co powiedziałam.

– Mówisz, że za każdym razem, kiedy Bix zrezygnuje z bijatyki, mamy mu dawać gumę do żucia?

– Dokładnie tak – odparłam.

– To świetny pomysł! – Bardzo podniosło mnie na duchu to, że Fuzzy tak szybko złapał moją myśl.

Ale Fuzzy skrzywił się.

– To nie zadziała. Dla Bixa najważniejsza jest bójkę.

– Fuzzy ma rację – wtrącił Mark. – Dla Bixa najwyższą nagrodą jest właśnie bójkę. On woli bójkę od gumy do żucia.

Za naszymi plecami ktoś wpadł na sąsiedni stolik. I nic dziwnego. W zatłoczonym liceum w Hampstead takie kolizje musiały być na porządku dziennym. Niemniej drgnęłam i odwróciłam się na krześle. Przy sąsiednim stoliku siedziało sześciu lub siedmiu chłopaków ubranych w zielone

wiatrówki. Jeden z nich, ten pośrodku, spoglądał z najwyższym przerażeniem na przewróconą solniczkę. Na moich oczach wzięła ją ze strachem, jakby miała mu eksplodować w rękę, i posypał sobie ramię solą.

– Widzieliście? – zwróciłam się do Marka i Fuzzy'ego. – Posypał sobie solą rękę.

– To Peyton Richardson – odparł Mark, patrząc mi prosto w twarz. – Syn burmistrza. Jest bardzo przesądny.

– Widziałaś ich kurtki? – zapytał Fuzzy. – Fajne, nie? Nazywają siebie „Paladynami”. Jeśli się dokładnie przyjrzyysz, zobaczysz na tych kurtkach naszywki z rycerzami w zbrojach.

– To jakiś gang? – zapytałam patrząc za siebie.

– Raczej bractwo. Wybierają członków w tajnym głosowaniu – wyjaśnił Mark. – Wydaje mi się, że bez przerwy dyskutują o tym, kto jest przystojny, kto popularny i takie tam inne intelektualne kwasiory. Istnieją w szkole, przepisy zabraniające tworzenia takich bractw, ale przeciw Paladynom, wydaje się, nikt nic nie ma.

– Mają wpływy – wtrącił pośpiesznie Fuzzy.

– No cóż, ta historia z solą pokazuje, jak bardzo irracjonalni są ludzie – powiedziałał autorytatywnie. – Myślę o tych, którzy nigdy nie przejdą pod drabiną. To bardzo prymitywne umysły. I powiem wam, kiedy myślę o takich ludziach, dochodzę do wniosku, że Bixowi łatwo będzie przemówić do rozsądku. Muszę tylko trochę o tym poczytać. – Popatrzyłam w zamyśleniu na karton po mleku. – Zastanawiam się, czy Freud napisał coś o bójkach.

ROZDZIAŁ TRZECI

Pierwszą lekcję jazdy samochodem odbyłam z Bixem w sobotę. Byłam zadowolona, że przyjechał zwykłym sedanem. Tył auta wprawdzie był zbyt wysoko uniesiony, a opony trochę za szerokie, ale przynajmniej zza tylnej szyby nie wyglądały czaszki szczerzące zęby w uśmiechu.

Kiedy ruszaliśmy sprzed mego domu, Bix wskazał dach samochodu.

– Widzisz? – zapytał. – To pałak zabezpieczający w razie dachowania. Zainstalowałem go specjalnie. Jeśli przytrafi się nam wywrotka, przynajmniej nas nie zgniecie.

Zacisnęłam palce na oparciu fotela. Nie rozumiałam, dlaczego od razu mielibyśmy dachować. Poczułam się nieswojo.

– To tak na wszelki wypadek – uspokoił mnie zaraz Bix. – Pojedziemy na farmę mego wuja, Dana. Tam nie zaczepi nas żaden gliniarz, a ponadto znajdziemy dużo nie utwardzonych dróg nadających się do nauki jazdy.

Kiedy już wyjechaliśmy z miasta, zwiększył prędkość.

– Ludzie często mówią: „Nadmierna szybkość zabija” – odezwał się znowu Bix. – Nie wierz temu. Zabija zły kierowca. Musisz cały czas myśleć, przewidywać wszystkie sytuacje na drodze i trzymać obie ręce na kierownicy. Nigdy nie siadaj za nią, jeśli czujesz, że z twoim refleksem jest coś nie tak. Teraz popatrz, jak pokonam ten zakręt przed nami. Musisz zwrócić uwagę na kilka elementów. Naciskam hamulec, przekręcam stopę, piętą naciskam gaz, zmniejszam prędkość i redukuję bieg. Kiedy osiągam zakręt, skręcam szybko kierownicę, po czym puszczam ją luzno, tak żeby sama wróciła do normalnego położenia. – Kiedy byliśmy już na prostej, dodał: – Teraz

czekamy, aż pojawi się następny zakręt.

Popatrzył na mnie z uśmiechem.

W normalnych warunkach również bym się uśmiechała. Teraz jednak nie mogłam, ze strachu miałam sparaliżowaną twarz. Nigdy dotąd nie jechałam samochodem, który tak szybko pokonał zakręt.

Bix zwolnił i zjechał na pobocze. Trakt przed nami był pusty. Jedyne w oddali majaczył jakiś traktor wlokący za sobą chmurę kurzu. Widok maszyny, choć tak odległej, bardzo mnie pokrzepił na duchu. Jeśli nawet nasz samochód przewróci się, znajdzie się ktoś, kto wyciągnie nas z wraka. Ale głównie zastanawiałam się, czy rzeczywiście chcę nauczyć się jeździć.

Bix wysiadł z samochodu, obszedł go i stanął po mojej stronie.

– Teraz ty – oświadczył.

Rozpaczliwie czepiałam się myśli, że jeśli nie nauczę się szybko prowadzić samochodu, stanę się pośmiewiskiem całej szkoły. Najwyższym wysiłkiem woli przemogłam się i zajęłam miejsce za kierownicą. Bix usiadł w fotelu dla pasażera i zapiął pasy. Dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– Na co czekasz? – zapytał.

– Mam nadzieję, że wyjaśnisz mi, jak to wszystko działa.

Popatrzył na mnie ze zdumieniem, ale po chwili skinął głową.

– No dobrze. Zaczniemy od początku. – Poklepał deskę rozdzielczą. – To, w czym teraz siedzimy, to samochód, s a m o c h ó d.

Początek nie był obiecujący, ale Bix łatwo się nie zniechęcał. Stopniowo wprowadzał mnie w tajniki samochodu, pokazując, co do czego służy, jak uruchomić silnik i jak operować sprzęgłem. Po dziesięciu lub dwudziestu próbach silnik przestał się w końcu dławić, dobrze trafiłam w bieg i pojazd ruszył. Dumna z siebie pieściłam rączkę zmiany biegów. Potem chciałam nacisnąć sprzęgło, ale pomyliły mi się pedały. Nacisnęłam hamulec i zatrzymaliśmy się tak gwałtownie, że tylko pasy bezpieczeństwa uratowały nas przed rozbiciem nosów o przednią szybę. Kiedy z niejakim trudem doszłam do siebie po tym doświadczeniu, ruszyłam z zawrotną szybkością trzydziestu kilometrów na godzinę. Dość szybko straciłam orientację i z impetem zjechałam z wąskiej, żwirowej drogi. Na Biksie nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Chociaż wiedział, że za kierownicą tracę natychmiast całą pewność siebie, wcale go to nie odstraszało i po godzinie opanowałam na tyle technikę jazdy, że dotarliśmy do końca drogi, gdzie samodzielnie zawróciłam.

Kierowałam samochodem!

Naprawdę sympatyczne w tym wszystkim było to, że Bix ani nie wciągał ze świsem powietrza w płuca, ani nie białaty mu kłykcie zaciskanych na oparciu fotela palców, jak miało to miejsce w przypadku mego taty, ilekroć dotykałam tkwiących w stacyjce kluczyków. Naturalnie, bardzo szybko

zrozumiałam, dlaczego Bix, jako nauczyciel, ma taką przewagę nad moim tatą. Bixowi obce było uczucie strachu.

Pomyślałam sobie, jak zdumieni będą moi rodzice, kiedy pewnego pięknego dnia oświadczę im, że umiem już prowadzić samochód i chcę zdawać na prawo jazdy.

Bix usiadł za kierownicą i ruszyliśmy do domu.

– Czy widziałeś ostatnio Celię? – spytał ze sztuczną obojętnością.

– Nie, w tym tygodniu nie. Była potwornie zajęta. Ale w przyszłym tygodniu mamy się razem uczyć chemii. Mam nadzieję, że dzięki temu lepiej ją poznam.

– To anioł – westchnął Bix. – Jest jak wiosenny kwiat. Wiesz, o co mi chodzi, prawda? Jak lilia lub jeden z tych górskich kwiatów rosnących z dala od syfu wielkiego miasta. Jest jak księżniczka z innego świata – czymś specjalnym. Nie istnieje na świecie nikt drugi taki jak ona. Nikt, Katy!

Wszystko było jasne. Popatrzyłam na niego z uwagą.

– Jest wspaniała, to fakt – odrzekłam. – Ale czy jesteś pewien, że pasujecie do siebie?

Obrzucił mnie płonąącym wzrokiem.

– Chodzi mi o to, że dziewczęta nie lubią brutalności – dodałam szybko. – Ona bójki uważa za dziecinadę. Bijatyki na pewno nie wymyślono w niebie.

Ku memu przerażeniu zwiększył prędkość.

– Mówisz tak, jakbym przez całe życie rozwałł niemowlakom główki o beton – rzucił przez zaciśnięte zęby. – Nigdy nie biję się bez powodu. Nigdy... no, w każdym razie, ostatnio...

– Tak, tak, naturalnie – potwierdziłam szybko. Miałam już pewność, że nikt nie wyperswaduje mu tego cięłego, bałwochwalczego uwielbienia dla Celi, to była stracona barykada. Musiałam znaleźć jakieś inne rozwiązanie problemu Bixa.

W poniedziałek do szkoły ponownie podrzucił mnie Mark, Bixa ciągle jeszcze obowiązywała kara, a Fuzzy mieszkał w innej części miasta. Bardzo mi to odpowiadało, gdyż spośród całej trójki z Markiem najłatwiej nawiązywałam kontakt. Był jednym z niewielu ludzi, przed którymi mogłam się otworzyć. Najprostsze pytanie w rodzaju: „Czy czytałeś ostatnio coś ciekawego?” zawsze prowadziło do bardzo interesującej rozmowy.

– I jak nauka jazdy? – zapytał.

– Zrobiłam pewne postępy. Czemu nie ostrzegłeś mnie przed stylem jazdy Bixa?

– A cóż miałem powiedzieć? Że jest złym kierowcą? Nie, bo nie jest. Że jeździ niebezpiecznie? Też nie, bo nigdy nie spowodował wypadku, nigdy nawet nie doprowadził do niebezpiecznej sytuacji na drodze.

– No cóż, mogłeś przynajmniej powiedzieć, że ostrą jazdą kompensuje

swoje kłopoty sercowe. Tyle chyba mogłeś mi zdradzić.

Uśmiechnął się.

– Tak, chyba tak. Ale Bix taki już jest. – Popatrzył na mnie z ukosa. – Lubisz go?

– Pewnie, że lubię.

– Tak jak większość dziewcząt.

– Ale nie Celia.

– Och, no cóż, to cały Bix. Jemu nie wystarcza, że podbija serca wszystkich dziewcząt. On poszukuje jakiegoś Świętego Graala albo czegoś w tym rodzaju. Słyszałaś o chłopakach, którzy nazywają siebie Paladynami? O paczce Peytona Richardsona? Wcale nie są takimi rycerzami o nieskalanych sercach, za jakich się mają. Stanowią po prostu bandę bufonów. To właśnie Bix jest paladynem. Z tym tylko, że we współczesnym świecie dla paladynów i rycerzy nie ma już miejsca.

Zjeżdżaliśmy właśnie ze wznesienia, kierując się w stronę szkoły, kiedy spostrzegłam, że coś się tam dzieje. Po wschodniej stronie budynków, w miejscu, gdzie jeszcze niedawno znajdował się rozległy trawnik, dostrzegłam lustro wody, w którym skrzyło się słoneczne światło. Przed pawilonem administracyjnym szkoły zaparkowany był samochód policyjny.

– Popatrz! – wykrzyknęłam.

– Ale jaja – mruknął cicho Mark. – Otworzyli hydrant przeciwpożarowy i zalali wodą boisko futbolowe.

– Ale po co ktoś miałby to robić? – zapytałam. Skręciliśmy w szeroką aleję wiodącą do parkingu.

– To sprawka zwolenników pola ryżowego – oświadczył Mark. Z pewnością miał rację.

Kiedy już przebrzmiał jazgot elektrycznych dzwonek i wypełniliśmy salę gimnastyczną, zauważyłam grupę roześmianych uczniów w szerokich chińskich kapeluszach na głowach. Byłam pewna, że to oni są odpowiedzialni za potop.

Światła w sali gimnastycznej pogasły i zapaliły się tylko reflektory oświetlające estradę. Na podium wszedł wyraźnie zdenerwowany uczeń i oznajmił, że ze względu na bezpieczeństwo szkoły przemówi osobiście dyrektor, pan Alvin Jones.

Usłyszałam za plecami szmer. To przybrane w chińskie kapelusze dzieciaki zdjęły nakrycia głowy i schowały je pod składane krzesła. Na scenę wkroczył pan Jones. Miał na sobie ciemny, urzędowy garnitur. Był kompletnie siwy, choć moim zdaniem nie wyglądał na więcej niż czterdzieści lat. Pomyślałam sobie, że to całkiem możliwe, iż osiwił w tym czasie, kiedy kierował szkołą w Hampstead.

– Nie będziemy tolerować wandalizmu – warknął w mikrofon. – Kiedy

sprawcy tego idiotycznego czynu zostaną wykryci, a muszę powiedzieć, że policja prowadzi już w tej sprawie śledztwo, zostaną oni przykładowo ukarani – zgodnie z obowiązującym prawem. – Gestykułował niczym telewizyjny kaznodzieja, wznosząc wysoko lewą rękę, jakby chciał zaciągnąć kurtynę. – A co więcej, oświadczam, że żadne naruszenie przepisów nie będzie tolerowane. Dzisiaj kradnie się gumkę do wycierania, a jutro organizuje się włamanie. – Wykonał coś w rodzaju tanecznego piruetu i zdecydowanie opuścił lewą rękę. – Bezprawie zniszczymy w zarodku dokończył podnosząc głos.

Stojący obok mnie chłopiec z założonymi na piersi rękami patrzył na dyrektora obojętnie.

– Ładnie się porusza – oświadczył.

– Ale koniec z tym, przyjemniaczki – ponownie warknął pan Jones, wskazując palcem salę. – Chcecie łamać przepisy, proszę bardzo. Zapraszam! A teraz do klas!

Rozległy się oklaski, w takt których dyrektor opuścił podium. Nie wiedziałam, czy aplauz ten był wyrazem sympatii, czy tylko elementem choreografii.

Nie zobaczyłam już żadnego chińskiego kapelusza. Odniosłam wrażenie, że uczniowie, którzy przed chwilą jeszcze ze śmiechem nosili je na głowach, byli naprawdę przerażeni. Nie przejęłam się specjalnie ich losem. Nie należałam do partii zwolenników pola ryżowego. A co więcej, nie kradłam gumek...

Po skończonych lekcjach jak zwykle ruszyłam na parking, gdzie czekał samochód Marka. Miałam niejakie kłopoty z przebicciem się przez tłum. Zaczęłam już nawet pracować łokciami, kiedy usłyszałam czyjś głos:

– Będą się tłukli. Chodźmy popatrzeć. Będą się tłukli.

Kiedy dotarło do mnie znaczenie tych słów, poczułam, że zamiera mi serce. Zaczęłam jeszcze usilniej przedzierać się do przodu. Z desperacją szaleńca dotarłam na czoło tłumowi otaczającego niewielką wolną przestrzeń, na której stali przeciwnicy. Tak jak się spodziewałam, ujrzałam Bixa. Miał zacziśnięte pięści i wyraz zadowolenia na twarzy, był wręcz rozradowany. Naprzeciwko niego, w zielonej wiatrówce, stał Peyton Richardson. Twarz miał bladą jak śmierć. Odniosłam wrażenie, że żałował już tego, że stanął naprzeciwko Bixa.

– No, przynasz się przed wszystkimi, że jesteś odrażającą glistą? – zapytał groźnie Bix.

W odpowiedzi Peyton zadał Bixowi cios w twarz. Bix zszedł z linii ciosu i pięść Peytona minęła jego głowę. W chwili, kiedy Peyton stracił na ułamek sekundy równowagę, Bix radośnie pacnął go w ucho, na jego twarzy malował się pełen szczęścia uśmiech. Zrobił krok do tyłu. Peyton sprawiał wrażenie kompletnie oszołomionego. Po chwili Bix ruszył do ataku. Usłyszałam odgłos

tępego uderzenia, kiedy trafił Peytona w podbródek. Przez chwilę chłopak zdawał się płynąć w powietrzu, z ust trysnęła mu krew. Upadł ciężko na ziemię.

Pośród widzów przeszedł głośny szmer. Z tłumu wyskoczyło trzech chłopaków w zielonych wiatrówkach. Pochylili się nad Peytonem, który próbował niezdarnie ich od siebie odepchnąć, ostatecznie nie stracił przytomności.

– Biją się! – dobiegł z daleka czyjś głos. – Biją się, panie Jones!

Fuzzy, Mark i ja podbiegliśmy do Bixa.

– Pryskaç stąd, Bix – mruknął cicho Mark. – Idzie Jones.

Chwyliłam Bixa za rękę i pociągnęłam w stronę samochodu. W sekundę później cała nasza czwórka gnała już w stronę studebakera. Kiedy ciężko oddychając dobiegliśmy do auta, Mark dosłownie uniósł Bixa i wrzucił go do szoferki. Za nim wskoczył Fuzzy. Mark i ja usiedliśmy na przednich siedzeniach. Odjechaliśmy. Słyszałam, jak siedzący z tyłu na podłodze Bix zaśmiewa się do rozpuku.

– Fuzzy, dopilnuj, żeby się nie wychylał – warknął Mark. – Musimy odjechać stąd powoli, tak żeby nie wzbudzać podejrzeń.

Auto wolno opuszczało parking. Popatrzyłam niespokojnie na tłum rozchodzących się już widzów. Ujrzałam mężczyznę w ciemnym garniturze otoczonego grupką dzieci. Zadrżałam.

– Jak myślicie, czy poinformują go, kto się bił? – zapytałam.

– Wątpię – odparł Mark najwyraźniej starając się zachować pogodę ducha.

– Była to uczciwa walka i wszyscy o tym dobrze wiedzą. Poza tym nikt nie zechce mieć do końca życia do czynienia z Bixem. Znaczący się, będą się bali jego zemsty.

Kiedy oddaliliśmy się już spory kęs drogi od szkoły, Mark zatrzymał samochód.

– W porządku, Fuzzy – powiedział. – Leć teraz po samochód Bixa. Podstaw go tutaj i wracaj po swoje auto. Gdyby cię ktoś pytał, powiedz, że zapomniałeś o samochodzie i właśnie po niego wracasz.

Rozległ się brzęk kluczyków, kiedy Bix wręczał je Fuzzy'emu.

Fuzzy oddalił się. Wyglądał jak agent CIA, której właśnie poważnie obcięto budżet.

– No i dobrze – westchnął Mark. – Na szczęście wszyscy wiedzą, że tylko Fuzzy jest w stanie zrobić taką głupotę, żeby zapomnieć o samochodzie. Każdy z łatwością mu uwierzy.

– Hej, a kiedy ja wreszcie będę mógł wyleźć? – spytał Bix. – Już nie czuję krzyża.

– Wyleziesz, jak ci powiem, człowieku – odparł Mark. – Siedz cicho i nie piskaj. Chcesz, żeby wylali cię z budy?

- Strzepisz sobie tylko język – mruknęłam. – Szkoda czasu.
- Ta szumowina obraziła kobietę, którą kocham – odparł sztywno Bix. Odwróciłam się w jego stronę.
- Naprawdę? I coś takiego powiedział?
- To nie dla uszu dziewczyny.
- Gadasz jak błędny rycerz – odparłam. – W jaki sposób mam poznać ludzkie zachowania, skoro nie chcesz mi powiedzieć, co powiedziała ta szumowina?
- Daj spokój, Katy – wtrącił Mark. – To już nieważne. No dobra, wyłaź, Bix. Ale nie rozumiem jednego. Skoro obraził Celię, dlaczego ona sama nie dała mu w pysk?
- Popatrzyłam na Marka z aprobatą.
- No właśnie – podchwyciłam. – Dlaczego?
- Opowiadacie głupoty – zaperzył się Bix. – Dziewczyny się nie biją. – I dodał głucho: – Wcale nie słyszała tego, co powiedział.
- On cię po prostu podpuścił, wiesz o tym? – spytał Mark.
- No to co. Ma to, czego chciał – odrzekł Bix.
- Rozsiadł się na tylnym fotelu i założył ramiona na piersi. Jego bursztynowe oczy płonęły.
- Osobiście wydawało mi się mało prawdopodobne, żeby Peyton podpuszczał Bixa. Być może i był glistą, ale na pewno nie samobójcą. Zapewne należał do tego typu chłopców, którzy oparci o ścianę robią różne głupie uwagi pod adresem przechodzących dziewcząt – klasyczna świnia. Sama nieraz miałam ochotę takiemu typkowi zdrowo przyłożyć, mimo że zawsze czułam wstręt do rozwiązań siłowych. Nie mogłam więc tak do końca mieć do Bixa żalu o to, że wszczął z Peytonem bójkę.
- A Peyton ciebie nie zdradzi? – spytałam ogarnięta nagłym niepokojem.
- Mark wywrócił oczyma.
- Tylko tego nam potrzeba – odparł. – Każdy wie, że Jones szuka kozła ofiarnego, kogoś, kogo mógłby ukarać na pokaz. A nie muszę ci chyba mówić, Bix, co zrobi twój ojciec, jeśli wywalą cię z budy. – Mark popatrzył na mnie i dodał: – Wielebny Bixby niezłomnie hołduje zasadzie nadstawiania drugiego policzka.
- Nie wiedziałam, że Bix jest synem pastora. Biorąc pod uwagę jego usposobienie, nie wpadłoby mi to nawet do głowy.
- A może zostałeś adoptowany, Bix? – spytałam, odwracając się w jego stronę.
- Pokręcił głową, ale sprawiał wrażenie mocno zaniepokojonego. Najwyraźniej nie było mu w smak, że jego ojciec dowie się o bójce.
- Twój ojciec naprawdę dostanie szału? – zapytałam.
- Gorzej – odparł ponuro Bix. – Będzie załamany. – Jęknął. – Posłuchaj,

Metcalf, to Peyton pierwszy mnie uderzył, mam na to setkę świadków. Jeśli mnie wyda, jednocześnie wyda wyrok na siebie, prawda?

Bix chyba nigdy nie słyszał o ludziach składających fałszywe zeznania.

– Posłuchaj – powiedziałam. – Nie martw się na zapas. Co będzie, to będzie. Sprawa zapewne rozejdzie się po kościach.

Grubo się jednak myliłam.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Następnego dnia natknęłam się na Peytona Richardsona przy małych źródelkach z pitną wodą. Stał do mnie tyłem, ale poznałam go po charakterystycznej wiatrówce i gładko zaczesanych, czarnych włosach, które tak obficie nasączył żelem, że przypominały plastikową perukę. Pochylił się nad poidelkiem. Woda prysnęła mu na nos i lustrzane okulary przeciwsłoneczne. Najwyraźniej w tym tygodniu prześladował go pech.

Wyprostował się i wykrzywił twarz. Potem zdjął okulary i zaczął wycierać je o dzinsy. Zobaczyłam, że wokół oczu ma czarne obwódki. Wyglądał jak szop prac. Nie wiedziałam, że zwykle uderzenie w szczękę może spowodować coś takiego. Zapewne, kiedy upadł po ciosie Bixa, musiał sobie rozbić nos. Szybko nałożył z powrotem okulary i popatrzył w moją stronę, ale nie poznał mnie. Uświadomiłam sobie z ulgą, że nie miał zielonego pojęcia, iż należę do paczki Bixa. A kiedy widział mnie ostatnio, raczej nie był w stanie cegokolwiek zapamiętać.

– Suwaj się, Richardson! – warknął stojący za nim w kolejce do wody chłopak. – Myślisz, że będę tu sterczał cały dzień?

Peyton lekko poczerwieniał, ale bez słowa odsunął się od kranu. Kiedy pochyliłam się nad strumykiem wody, ruszył powolnym, nonszalanckim krokiem do pozostałych chłopaków w zielonych wiatrówkach, którzy czekali na niego oparci o przeciwległą ścianę budynku. Wszyscy przybrali taką samą pozę: ciężar ciała wsparty na prawej nodze, lewa wysunięta do przodu. Kciuki wsunęli w tylne kieszenie dzinsów. Ramiona mieli luźno opuszczone. Wyobraziłam sobie ich, jak zbierają się w domu Peytona i ćwiczą tę obojętną

pozę przed olbrzymim lustrem.

– W porządku, chłopaki – powiedział Peyton. Odeszłam od poidełek. Przechodząc obok ubranych w zielone kurtki chłopaków byłam tak spięta, jak podczas, jakiejś szaleńczej gry wideo, ale oni chyba nawet mnie nie zauważyli.

– Gorzko pożałuje – odezwał się Peyton niskim głosem. – Bardzo gorzko pożałuje, że mnie zaczepił. Zobaczycie.

Nie patrzył na chłopca przy fontannie. Gapił się bezmyślnie w betonową, pociągniętą farbą ścianę, a sądząc z jego głosu, na murze tym musiał widzieć twarz Bixa – tak wyraźnie, jakby wyświetlana była z filmowego projektora. Zapewne tak też i było, ponieważ to Bix spuścił mu tęgie manto i Peyton nigdy już nie będzie się cieszył niczym szacunkiem przy źródłkach.

Miałam ogromną ochotę posłuchać, co Peyton miał jeszcze do powiedzenia, ale właśnie rozległ się dzwonek i musiałam gnać do klasy.

Lunch, jak zwykle, zjadłam w towarzystwie Fuzzy’ego i Marka. Postawiłam na stole tacę i rozejrzałam się z niepokojem po jadalni.

– A gdzie jest Bix? – zapytałam szybko. – Czyżby zaczęła się jakaś afera?

Mark pchnął nogą krzesło w moją stronę.

– Zaraz przyjdzie. Wszystko w porządku – odparł.

I rzeczywiście, minutę później w podwójnych drzwiach jadalni stanął Bix. Wyglądał tak, jakby cały ranek włóczył się po bulwarach Paryża, a nie ślęczał jak my nad angielskim i algebrą. Dojrzał nas, uśmiechnął się i stanął w kolejce do bufetu.

Choć wiedziałam, że moja sympatia do Bixa brała się stąd, że w czasie nauki jazdy był dla mnie miły i wykazywał sporo cierpliwości, wciąż nie mieściło mi się w głowie, że Celia może oprzeć się jego czarującemu uśmiechowi. Wyglądał jakby zszedł właśnie z reklamy najnowszego wzoru modnych džinsów. Dzięki swej urodzie mógłby zagrać w filmie rolę amanta, który podczas pełni księżyca przemienia się w kugara. A jednak Celia twierdziła, że bardziej interesuje ją gra na flecie niż Bix. To już zupełnie nie miało sensu. Co prawda, mnie na jego widok również nie miękły ze wzruszenia nogi, ale gdyby wszystkie dziewczyny reagowały tak jak ja, żaden producent nie zatrudniałby chłopaków w typie Bixa do reklamy džinsów.

Kiedy odwróciłam się, żeby otworzyć karton z mlekiem, mój wzrok spoczął na Marku i Fuzzym – nie byli szczególnie przystojni, ale tak kapitalnych ludzi rzadko można było spotkać – i naszła mnie refleksja, że bez nich buda w Hampstead byłaby pusta. Z całej duszy życzyłam im, żeby na zawsze już pozostali tacy pogodni i radośni. Nie mogłam wprost znieść myśli, że Bix ciągle popada w jakieś tarapaty. Bo tak naprawdę prócz bystrego umysłu i naukowych zainteresowań zachowaniami ludzi, posiadałam również serce, sentymentalne jak serce Lucy Maud Montgomery.

– Mark – odezwałam się zaniepokojona. – A co będzie, jeśli chłopaki w zielonych wiatrówkach hurmem rzucą się na Bixa?

Fuzzy wyszczerzył zęby.

– Coś ty, z byka spadaś? Nigdy by czegoś podobnego nie zrobili.

– Sądzisz, że we trójkę dalibyście im radę? Przecież ich jest co najmniej sześciu.

– Fuzzy'emu chodzi o coś innego – wtrącił Mark. – To znaczy, gdyby doszło do czegoś, na pewno rozbiłbym im kilka łbów, mimo że jestem osobą wyjątkowo przyjaźnie nastawioną do świata. Fuzzy również nie dałby sobie w kaszę dmuchać, prawda, Fuzz? – Szturchnął kumpla w bok. – Ale problem leży w czymś innym. Na kogo by wyszli, gdyby w szóstkę rzucili się na Bixa?

– Na palantów, ot co! – parsknął Fuzzy.

– Musisz zrozumieć jedno, Katy – powiedział pobłaźliwie Mark. – Istnieją pewne rzeczy, których po prostu się nie robi.

Zapewnienie to bardzo mnie uradowało i uspokoiło. Od chwili przyjazdu do Hapstead rosła we mnie pewność, że w życiu wszystkie chwytysą dozwolone i wcale nie zdziwiłabym się widząc, że dzieciaki praktykują w łązienkach kult voodoo.

Mark popatrzył na mnie z sympatią.

– O Bixa się nie martw. Da sobie radę.

Bix podszedł do naszego stolika. Postawił tacę i usiadł.

– No to co, chłopaki, dziś wieczorem idziemy na festiwal Mozartowski – ni to stwierdził, ni spytał.

– Na festiwal Mozartowski? – zdziwiłam się.

– Tak. Zespół flecistów zagra jego muzykę.

– Brzmi to zachęcająco – odparłam. – Może i pójdę.

– Nie wiedziałem, że lubisz muzykę klasyczną, Katy – powiedział Mark, obrzucając mnie zdumionym spojrzeniem.

– Na tak ważną imprezę kulturalną powinni chyba pójść wszyscy – oświadczyłam. – Ty też, Mark. I Fuzzy również.

– Na mnie nie licz – odparł tak zdecydowanie Fuzzy, że zabrzmiało to jak zamknięcie drzwi. – Dzisiaj Nebraska gra z Miami.

Po lunchu czekała mnie lekcja algebry, którą miałam w jednej klasie z Markiem.

– Powiedziałaś, że muzyka klasyczna śmiertelnie cię nudzi – mruknął idąc obok mnie korytarzem. – Jestem pewien, że tak powiedziałaś. O co więc chodzi z tym koncertem?

– Nie rozumiesz, że Bix idzie tam wyłącznie dla Celii?

– Wiem, dlaczego Bix idzie na koncert. Nie rozumiem tylko, dlaczego chcesz, żebyśmy i my tam poszli.

– Bix może nas potrzebować.

– Jezu Chryste, zwariowałaś?

– Nie. Mówię poważnie. Nie rozumiesz? Bix nie jest taki jak ty czy ja. My jesteśmy rozsądnymi, trzeźwo myślącymi ludźmi i potrafimy przewidzieć konsekwencje naszego postępowania. Bix jest inny, jest jak fala morskiego przyływu. Nie myśli, nie ma wyobraźni, nie zastanowi się, co będzie później, on po prostu bezmyślnie idzie głową do przodu. A ponadto obiecałam Chris, że będę miała go na oku.

– I tylko to? Obiecałaś Chris?

– No cóż, obiecałam, ale teraz, kiedy lepiej go poznałam, tym bardziej chcę mu pomóc.

– Racja.

– Widzę, że nie cieszy cię perspektywa koncertu. Więc jak, pojedziesz ze mną czy nie?

– Z tobą można zwariować, ale zgaduję, że zależy ci na tym, żebym podrzucił cię tam swoim samochodem.

– Jeśli o to ci chodzi, to masz rację. Nie chcę jechać z Bixem.

– Dobra, zawiozę cię.

Uniosłam głowę i popatrzyłam na Marka. Miałam straszną ochotę rzucić mu się na szyję. Był moim ukochanym wielkoludem.

– Mark – zapytałam nieoczekiwanie. – Czy brakuje wam Chris?

Chłopak namyślał się długą chwilę.

– No cóż, od czasu jak wyjechała Chris, nasza paczka zmieniła się. Powstały nowe układy, wszystko jest niby tak samo, ale zupełnie inaczej... Sam nie wiem, jak to określić.

Miałam nadzieję, że usłyszę: „Och, Katy, jesteś równie fajna jak Chris. To nieważne, że nie umiesz prowadzić samochodu, jeździć na nartach czy grać w tysiąca”.

– To dlatego, że jesteś dziewczyną – dodał po chwili zadowolony, że udało mu się w końcu rozgryźć problem. – Tak, na pewno dlatego.

– Przecież Chris też jest dziewczyną – odparłam rozsądnie.

– To całkiem inna sprawa – odparł enigmatycznie Mark.

Koło mego ucha, niczym eksplozja bomby, rozległ się przeraźliwy terkot dzwonka. Ruszyliśmy galopem, groziło nam spóźnienie się na algebrę.

Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach algebra nie była przedmiotem, który bez reszty wciągnąłby mnie w swe przepastne głębie. Więc teraz, kiedy umysł zaprzętało mi tyle innych spraw – jak powstrzymać Bixa od bójek, jak sprawić, żeby Celia popatrzyła nań przychylnym okiem, co miał na myśli Mark mówiąc, że jestem dziewczyną – gapiłam się po prostu bezmyślnie w okno. Z drugiego piętra, gdzie mieściła się pracownia matematyczna pana Hatcharda, miałam doskonały widok na maszt z flagą i kolisty podjazd przed frontem szkoły. Widok sam w sobie nie był zbyt

interesujący – do chwili, kiedy dostrzegłam idącego przez trawnik w stronę parkingu Peytona. Niósł książki i spoglądał w moim kierunku, słońce ostro odbijało się od jego lustrzanych przeciwsłonecznych okularów. Oderwałam wzrok od okna. Wiedziałam, że nie mógł mnie dostrzec, ale w jego spojrzeniu ogarniającym szkołę było tyle wrogości, że w pierwszej chwili pomyślałam o bombie, którą pewnie z przyjemnością cisnąłby w budynek.

– ...więc najlepiej będzie, jeśli napiszę wam to równanie na tablicy – dotarł do mnie głos pana Hatcharda.

Skupiłam uwagę na tablicy, gdyż tylko algebra mogła skutecznie oderwać mnie od niepokojących myśli. Nic z tego. Ciągle dręczyło mnie pytanie: dlaczego Peyton opuścił wcześniej szkołę? Nie wyglądał na chorego. Zaczęłam już żałować, że usłyszałam rzucone przy źródle groźby.

Po lekcjach pojechaliśmy do Bixa. Jego matka przed wyjściem na zebranie kółka kobiet upiekła dwie brytfanki piernika z orzechami. Już wcześniej wiedziałam, że pani Bixby chwytala się różnych drobnych podstępów, żeby zatrzymać syna w domu. Niestety, d r o b n e podstępstwa stanowczo nie skutkowały. Zapewne jedyną metodą byłaby jakaś akcja bezpośrednia, na przykład spuszczenie benzyny z baku w samochodzie Bixa.

Mark nałożył na plaster piernika potężną porcję lodów waniliowych i wrócił na oszkloną werandę, na której siedzieliśmy w plecionych z wikliny fotelach.

– Fajny zestaw stereo – zauważył Mark, opadając całym ciężarem ciała w fotel przypominający kształtem kosz. – Skąd go masz?

Patrzył na stojący w rogu werandy stół, na którym leżał kij bilardowy, kilka bil, stary zestaw do bingo, pozbawiona naciągu rakietka tenisowa, plik nadzartych przez mole numerów „National Geographics” oraz owa wspaniała aparatura stereo.

Bix również spojrzał w tamtą stronę.

– Nie wiem – odparł i znów zaczął studiować okładkę płyty, którą trzymał w rękach. – No cóż... dobra, wtedy jej powiem: „Posłuchaj, w fudze g-moll występuje element polifoniczny”.

– Chryste, nie zapamiętam tego – jęknął Fuzzy. – A jeśli ona skapuje, że całą wiedzę czerpiesz z okładki tej francuskiej płyty?

– Poczekajcie – powiedziałam nagle. – Nic przez chwilę nie mówcie.

– Nie podoba ci się ta muzyka? – zapytał Bix. – Nie o to chodzi. Dlaczego powiedziałaś, że nie wiesz, skąd masz to stereo?

– Bo widzę je po raz pierwszy – wzruszył ramionami Bix.

Wstałam, podeszłam do stołu i zaczęłam z uwagą oglądać głośniki.

– Ale one są zupełnie nowe. – Przeciągnęłam palcem po pudełku z bingo i po rakiecie tenisowej, tylko aparatura stereo nie była pokryta warstwą kurzu. – A może to kupili twoi rodzice? – zapytałam.

– Na pewno nie – odparł Bix. – Ostatnio mama zaczęła oszczędzać. Racjonuje nawet pastę do zębów.

Zbliżył się do mnie Mark.

– To bardzo drogi zestaw – oświadczył oglądając sprzęt. – I, jak mówi Katy, jest nowy. Nie sądzę, żeby ktokolwiek wyrzucał na śmietnik taką aparaturę. Jesteś pewien, że nie kupili go twoi starzy?

– Chyba żartujesz. Wiesz, jak mój tata lubi ciszę i spokój. Nie cierpi muzyki. Twierdzi, że go rozprasza i przeszkadza myśleć.

– Mam złe przeczucia – oświadczyłam głośno. – Lepiej to gdzieś schowajmy. Włóżmy do bagażnika samochodu Marka, dobrze? No, pomóżcie mi. Mark, ty bierz adapter, bo jest najcięższy. Pośpieszcie się.

– O co chodzi? – wykrzyknął Bix. – Hej, co wy wyprawiacie?

Oparłam na biodrze radioodbiornik.

– Myślę, że przyniósł to tutaj Peyton. Masz u niego krechę.

– Skąd ci przyszedł do głowy taki pomysł? – zdumiał się Bix.

– Nie kłóć się i rób, co ci mówię – przerwałam mu.

Fuzzy popatrzył na mnie podejrzliwie.

– Katy, z tobą wszystko w porządku? – spytał. – Czy przypadkiem nie uczyłaś się ostatnio zbyt dużo?

– Nie rozśmieszaj mnie – warknęłam, napierając trzymanym radiem na wahadłowe drzwi werandy. – Ruszajcie się, chłopaki – nieoczekiwanie poparł mnie Mark. – Jeśli nawet Katy coś się pochrzańiło, zawsze możemy wnieść sprzęt z powrotem.

We czwórkę uporaliliśmy się ze wszystkim w kilka minut. Załadowaliśmy aparaturę do bagażnika i zamknęliśmy go na klucz.

– Zaraz, zaraz, jest jeden problem – odezwałam się tknięta nagłą myślą. – Policja może przeszukać samochód. No cóż, już i tak za późno. Wracajmy na werandę i udawajmy niewinnych.

– Przecież jesteśmy niewinni – burknął Fuzzy.

Po chwili, lekko zdyszani, zajęliśmy miejsca w plecionych fotelach. Mark z wyrazem niesmaku na twarzy zaczął grzebać łyżeczką w zupełnie już roztopionych lodach.

Wtedy właśnie podjechał samochód policyjny. Nie potrafiłam się powstrzymać i popatrzyłam triumfująco na Fuzzy'ego.

Z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn w mundurach i ruszyło w stronę domu. Przystanęli przy zaparkowanym na podjeździe samochodzie Bixa. Obeszli go kilka razy, przyglądając mu się z uwagą. Moim zdaniem nie interesowały ich ulepszenia, jakie Bix wprowadził w swoim aucie, ale, ku mej radości, nie zwrócili uwagi na samochód Marka.

Wyglądali bardzo groźnie, kiedy stali tak przed frontem domu. Byli jak dwa masywne posągi przesłaniające słońce. Gdy zapukali w oszklone drzwi,

zadźwięczały szyby, zupełnie jakby chciały nas ostrzec. Bix poszedł stworzyć.

– Czy to ty jesteś Bix Bixby? – zapytał jeden z policjantów.

– Tak, sir. Czy coś się stało?

Początkowo oficer nic nie odpowiedział. Obaj funkcjonariusze byli w przeciwsłonecznych okularach i w niebieskich uniformach, groźnie ozdobionych bronią w kaburach. Mieli kwadratowe szczęki i twarze bez wyrazu – obojętne niczym granitowe nagrobki. Powoli obracając głowy, bacznie lustrowali werandę. Obaj żuli gumę. Ich szczęki pracowały zawzięcie. W końcu jeden z nich przerwał milczenie.

– Możemy się rozejrzeć? – zapytał.

– Moich rodziców nie ma w domu – bąknął Bix. – Ale proszę bardzo. Czego panowie szukacie?

Bix wyglądał jak wcielenie niewinności. Naturalnie był niewinny i miał wszelkie powody do niepokoju, widząc u siebie w domu policję. Niemniej z osobistych doświadczeń wiedziałam, że można być i niewinnym, i wyglądać bardzo podejrzanie. Byłam pewna, że tak właśnie w tej chwili wyglądam ja.

Policjanci nic nie odpowiedzieli, po prostu zaczęli bobrować po werandzie. Zatrzymali się nawet przy Marku i zajrzeli pod wiklinowy fotel, w którym siedział rozparty. W tej samej chwili ogarnęła mnie panika, nie sprawdziliśmy przecież wnętrza domu. A jeśli Peyton przyniósł tu więcej łupów? Natychmiast jednak przypominałam sobie, że Bix po powrocie otwierał dom kluczem. Najwyraźniej jego rodzice zawsze dokładnie zamykali mieszkanie. Niewątpliwie z tego właśnie względu stereo znalazło się na werandzie, a nie wewnątrz domu.

Bix ruszył z policjantami na obchód mieszkania. Nie było ich jakiś czas, a Mark, Fuzzy i ja spoglądaliśmy na siebie szeroko otwartymi oczyma, niezdolni wykrztusić słowa. W końcu policjanci i Bix wrócili na werandę.

– Proszę pana, moi rodzice zechcą wiedzieć, co się stało – powiedział Bix.

– Pan zna ojca Bixa, wielbnego George’a Bixby? – wtrąciłam.

Policjanci popatrzyli na siebie niepewnie. W końcu jeden z nich zmarszczył brwi i zajrzał do notesu.

– Mam doniesienie niejakiego Peytona Richardsona juniora o kradzieży. Chłopak twierdzi, że na chwilę przed wyjściem z domu widział ciebie, jak kręciłeś się w okolicy. Kiedy wrócił, stwierdził, że ktoś ukradł mu nowy zestaw stereofoniczny.

– Widział mnie koło swego domu? – zdumiał się Bix. – Przecież ja w życiu tam nie byłem. Musiał mnie pomylić z kimś innym.

– Wczoraj Bix i Peyton pobili się i Peyton dostał wciry – powiedziałam. – Może Richardson c h c e m y ś l e ć , że to Bix zabrał mu stereo.

Policjant jakby puścił mimo uszu moją uwagę.

- Kradzież to poważne przestępstwo – oświadczył.
Wysłuchaliśmy w milczeniu i z należytym szacunkiem dłuższej przemowy.
W końcu, ku naszej bezmiernej uldze, odeszli.
- Ojej – westchnęłam, spoglądając za oddalającymi się policjantami. – Ale groźnie wyglądają. Widzieliście w podręczniku do łaciny rysunek Mojr? Te trzy boginie powinny nosić takie właśnie niebieskie mundury i skórzane pasy. Aż dostają na ich widok gęskiej skórki.
- Ciszej, bo jeszcze usłyszą – mruknął Mark.
- Nie usłyszą – odparłam, ale aż do odjazdu policji siedzieliśmy sztywno, pogrążeni w milczeniu. Potem zaczęliśmy wszyscy naraz.
- Mówiłam...
- Skąd Peyton zdobył...
- Jezu słodki, ale byliśmy blisko...
- Katy, ale skąd ty wiedziałaś? Dlaczego od razu twoje podejrzenia padły...
- No cóż – odparłam, kiedy wreszcie zamilkli. – Najpierw zaniepokoiły mnie groźby Peytona, jakie rzucał dziś rano przed szkołą przy tych źródełkach z wodą do picia. Mówił, że Bix gorzko pożałuje. Od razu nabrałam podejrzeń, że spróbuje jakiejś sztuczki.
- Szkoda, że wspomniałaś policji o tej bójce – odezwał się Bix. – Nie chcę, żeby to dotarło do mojego ojca.
- Chyba na łeb upadłeś – parsknął Mark. – Przecież kilkaset osób widziało, jak dałeś mu w mordę.
- Doszłam do wniosku, że tak będzie najlepiej – wyjaśniłam. – Teraz policja już wie, że miał do ciebie anse. W przeciwnym razie nic by go nie powstrzymało, żeby jutro złożyć doniesienie o kradzieży jego telewizora, portfela z oszczędnościami lub złotych plomb z zębów.
- Jeszcze pokażę temu Peytonowi, gdzie raki zimują – warknął Bix, zaciskając pięści.
- Daj spokój – mruknął Mark. – Bijatyką niczego nie załatwisz.
Bix rozparł się w fotelu i wybuchnął śmiechem.
- Wiem o tym. Nawet ja wiem o tym. Ale co teraz mamy robić?
- Może nic nie musimy robić – odparł Mark. – Może Peyton przyszedł już do siebie. Oskarżyć kogoś o kradzież to poważna sprawa. Zapewne żałuje już swego postępuku.
- Wymieniliśmy z Bixem znaczące spojrzenie. Niefrasobliwie podchodzący do życia Mark mógł ukuć sobie taką właśnie teorię, ale ani Bix, ani ja nie braliśmy jej poważnie.
- Wątpię, żeby próbował jeszcze czegoś – ciągnął Mark.
- A ja wam mówię, że wykombinuje coś nowego – odparłam grobowym głosem.

Na wieczorny koncert w Pierwszym Kościele Prezbiteriańskim stawiliśmy się w odświętnych ubraniach. Ja miałam na sobie niebieską, jedwabną sukienkę, a na szyi pożyczony od mamy sznur pereł. Bixa i Marka, którzy pojawili się w eleganckich, ciemnych garniturach, poznałam z najwyższym trudem.

Pozostali widzowie byli równie wytworni i poważni. Naliczyłam piętnaście naszyjników z pereł. Żadnych żartów.

Mark niespokojnie kartkował program.

– Co miałaś na myśli mówiąc, że Peyton wykombinuje coś nowego? – spytał szeptem.

– Został upokorzony. Czy nie mówiłeś, że uważa się za jednego z arystokratów w szkole w Hampstead? Ten klub zielonych wiatrówek, to jak się noszą – wszystko pasuje. Nie może puścić płazem Bixowi tego, że go stłukł, gdyż to zniszczy jego wizerunek kogoś lepszego od reszty uczniów. Musi mu czymś odpłacić. Tylko wtedy we własnych oczach odzyska godność. Jedna sztuczka nie wyszła, spróbuje innej.

– Mówisz tak, jakbyś była tego absolutnie pewna. Kobieca intuicja?

– Nie, prosta dedukcja. Elementarne myślenie, drogi Marku.

– Możecie się zamknąć? – warknął Bix. – Zaraz zaczną grać.

Wpatrywał się z uwagą w wychodzących na scenę muzyków i na stanowisko fletów.

– Ale co ja mam zrobić z tym cholernym stereo w moim bagażniku? – wymamrotał Mark. – Chcę wiedzieć tylko to.

– Na razie nie sprzedawaj go paserowi – poradziłam.

Kiedy rozległy się pierwsze przenikliwe dźwięki fletów, Bix przesłał nam miazdzące spojrzenie, więc założyłam ręce na piersi i próbowałam słuchać. Nie było to łatwe. W dzieciństwie widocznie musiał mnie porządnie wystraszyć ryk słonia w zoo albo coś w tym rodzaju, gdyż nigdy nie potrafiłam skupić uwagi na muzyce, chyba że sama śpiewałam. Tak było i teraz. Po czterech taktach moje myśli zdryfowały z Mozarta i zaczęłam zastanawiać się nad tym, co jeszcze może wymyślić Peyton. Starałam się postawić w jego sytuacji, myśleć kategoriami jego wypaczonego, ptasiego mózdzku. Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej dochodziłam do przekonania, że drugi numer będzie podobny do pierwszego. Kryminaliści zawsze działają wedle utartego wzorca i byłam pewna, że Peyton prochu tu nie wymyśli. A już z całą pewnością nie zastawi na Bixa pułapki, jaką zastawia się na tygrysy – dołu z zaostrzonymi palami. Nie wiedziałam tylko, jak zamierza rozwiązać kwestię kolejnego doniesienia o kradzieży. Przecież policjanci natychmiast nabiorą podejrzeń. Zwłaszcza teraz, kiedy poinformowałam ich, że między Bixem a Peytonem trwa wojna.

Siedzący obok mnie Bix gapił się na scenę jak ciele w malowane wrota i

dopiero teraz zdałam sobie sprawę z tego, że Celia gra partię solową. Natychmiast spróbowałam skupić uwagę na muzyce. Nie wiedziałam, w którym punkcie programu jesteśmy, ale czułam, że dźwięk fletu Celi brzmiał pełniej i czystiej od innych, których tony były nieco zbyt piskliwe. Ponadto Celia z całą pewnością nie opuszczała ani jednej nuty, na podstawie mojej wiedzy muzycznej mogłam stwierdzić tylko tyle. Ale wiedziałam też, że gdyby dziewczyna nie grała najlepiej, nie jej, a którejś z dorosłych flecistek zaproponowano by partię solową. Poza tym musiałam przyznać Bixowi rację, że Celia wygląda jak anioł. Miała jasne, rozpuszczone i opadające na ramiona włosy. Kiedy naciskała palcami klawisze instrumentu, pierścienki na jej palcach rzucały migotliwe lśnienia. Bix, naturalnie, był w siódmym niebie. Siedział tak nieruchomo, że aż korciło mnie, żeby zastosować mu sztuczne oddychanie metodą usta-usta. Przepadł z kretesem. Co do tego nie miałam wątpliwości.

W końcu Mozart został w pełni uhonorowany i po długotrwałych owacjach poszliśmy złożyć Celi gratulacje.

– Hej, patrzcie, nie wiedziałem, że na takich imprezach dają żarcie! – zawołał Mark, którego niczym magnes przyciągnął stół zastawiony ciastkami domowego wypieku.

Bix głęboko odetchnął i ruszył w kierunku Celi. Stałam akurat obok palmy i byłam świadkiem wszystkiego.

– Coś pięknego, Celio – powiedział ochryplym ze wzruszenia głosem. – Ty naprawdę wspaniale grasz.

– Dziękuję – odparła dziwnym tonem. Nie był to jej normalny głos, tak mogłaby przemawiać bogini lodu do trolla.

Po tej zdawkowej odprawie Celia odwróciła się do Bixa plecami i zaczęła rozmowę z jakimś starszym panem wspartym na lasce.

Bix popatrzył na mnie z rozpaczą.

Wysłałam zza palmy i zaprowadziłam go do stołu ze słodyczami.

– Spróbuj tych czekoladowych kulek – poradziłam. – Jeśli cię to interesuje, Markowi najbardziej smakuje ten piernik. Widziałam, że ma na talerzyku aż trzy kawałki.

– Cóż ja takiego zrobiłem? – szepnął głosem pełnym bólu. – Potraktowała mnie, jakbym kogoś zamordował. Chyba wrócę i zapytam, o co jej chodzi.

– Och nie, nie rób tego – powiedziałam i dałam znak palcem Markowi, żeby się zbliżył. – Lepiej wyprowadźmy stąd Bixa – szepnęłam do niego. – Jeśli zostaniemy tu pięć minut dłużej, wyzwie tego dziadka z laską na pojedynek.

Mark skinął głową, włożył ostatni plasterk ciasta do kieszeni i, trzymając Bixa z obu stron pod ręce, ruszyliśmy do wyjścia.

– Czemu nie mogę jej osobiście zapytać? – wybuchnął Bix, kiedy byliśmy już na zewnątrz.

– Ponieważ zrobisz jej przy okazji awanturę. A to skompromituje ją w oczach koleżanek z zespołu i nigdy już więcej nawet na ciebie nie spojrzy – oświadczyłam.

Ten argument trafił Bixowi do przekonania, ale mimo to chłopak sprawiał wrażenie wściekłego. Miał szarą, ściągniętą twarz, a delikatne zazwyczaj rysy stężyły mu w jakimś okropnym grymasie. Oczy w przyćmionym świetle parkingowych latarni wydawały się prawie czarne.

– Nie martw się – powiedziałam. – Jutro wieczorem mam się z nią uczyć chemii. Ostrożnie sprowadzę rozmowę na twój temat i postaram się dowiedzieć, czemu jest tak na ciebie cięta. Postaram się też przekazać jej twój punkt widzenia.

Bix głęboko westchnął.

– Jesteś prawdziwym przyjacielem, Katy. Zaraz po rozmowie z Celią zadzwoń do mnie, dobrze?

Miałam cichą nadzieję, że uda mi się sprowokować Celię do rozmowy o Biksie. Byłam bowiem głęboko przeświadczona, że doszły już do niej słuchy o jego homeryckim boju z Peytonem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Następnego dnia pojawiłam się w domu Celi z notatkami z chemii pod pachą. Dziewczyna powitała mnie w progu i natychmiast zaprowadziła do swego pokoju.

– Byłam wczoraj na twoim koncercie – powiedziałam. – Rzeczywiście wspaniale grasz.

– Dziękuję. – Najwyraźniej nie chciała rozmawiać o swoim występie, co bardzo ograniczyło ilość tematów, na które mogłabym robić inteligentne uwagi.

Usiadłam i rozłożyłam kartki na łóżku Celi.

– Jak myślisz, czy zaczniemy od przejrzenia notatek, czy po prostu będziemy się przepytywały? – spytałam.

– Widziałam cię wczoraj wieczorem – odparła zaciskając usta.

Jest lepiej, niż myślałam, błysnęło mi w głowie. Najwyraźniej Celia również chciała pomówić o Biksie. Nawet nie musiałam nic sama kombinować.

– Przyszłaś z Bixem? – zapytała obojętnie, wertując własne notatki.

– Przyjechałam z Markiem, ale potem siedzieliśmy razem. Co zaszło między tobą a Bixem? Po koncercie byłaś dla niego po prostu okrutna.

– On jest beznadziejny, to wszystko! – wybuchnęła. – Widziałas tego nieszczęsnego Peytona?

– Pewnie – wyszczerzyłam zęby. – Wygląda jak szop, prawda?

– Myślisz, że to zabawne? Bix zupełnie bez powodu strasznie go pobił. Przecież to okropne. Wiedział, że Peyton nie da mu rady. Richardson zresztą jest zbyt wrażliwy, żeby brać udział w bójkach.

– Tak, na pewno ma szczękę z chińskiej porcelany – odparowałam złośliwie.

– Dziwię się tobie, Katy. Myślałam, że jesteś cywilizowanym człowiekiem. Najwyraźniej się myliłam.

– Chwileczkę. Uważam, że Bix przesadził bijąc Peytona, ale nie zapominaj, że ten go bez przerwy prowokował.

– Nic nie usprawiedliwia człowieka, który zachowuje się jak zwierzę – odparła Celia.

– Może i nie, ale pierwszy uderzył Peyton. No, próbował uderzyć – poprawiłam się – ale Bix zrobił unik. Po drugie, jedynym powodem tej bójki było to, że Bix usłyszał, jak Peyton, kiedy go mijalaś, robił jakieś paskudne uwagi na twój temat.

– Tak ci powiedział Bix?

– Cóż, może Bix jest w gorącej wodzie kąpany, ale nikt nie powie, że to łgarz.

– Zapewne źle zinterpretował słowa Peytona. Bix tak łatwo wpada w złość – odparła zadzierając kształtny nos.

Bawiłam się cudownie. Po pierwsze było dla mnie jasne, że Celia aż pali się do rozmowy o Biksie. Oświadczyła wprawdzie, że nie chce, żeby jakikolwiek chłopak odrywał ją od pracy, ale tak naprawdę to dawno już ją oderwał. To ja chciałam powtarzać chemię, a Celia najwyraźniej cały wieczór zamierzała przegadać o wadach Bixa. W moim przekonaniu Bix wygrał już prawie walkę, choć Celia jeszcze sobie z tego nie zdawała sprawy.

Wyciągnęłam podręcznik do chemii.

– Znajdziesz kilkuset świadków, którzy potwierdzą, że pierwszy uderzył Peyton. Spytaj, kogo chcesz.

– Żałuję, że mnie tam nie było – odezwała się z zadumą w głosie Celia, a kiedy popatrzyłam na nią ze zdziwieniem, szybko dodała: – Wiedziałabym, co wydarzyło się naprawdę.

– Pewnie – przyznałam jej rację. – I muszę powiedzieć, że w moim odczuciu straszliwie skrzywdziłaś Bixa, kiedy po koncercie tak obcesowo odwróciłaś się do niego plecami. Wiesz, on jest bardzo wrażliwy.

– Bix? Wrażliwy? Tobie chyba brakuje piątej kleпки. – Celia założyła ręce na piersi.

– To, że Bix nie wyplakuje się nikomu w klapę marynarki, nie znaczy wcale, że pozbawiony jest głębszych uczuć. Był bardzo dotknięty. Ja ci to mówię. Żebyś widziała to potem na parkingu. Pomyśl tylko: dziewczyna, którą podziwiał, którą chce pochwalić za jej grę, właściwie daje mu w twarz.

– Myślałam, że z Peytonem to była jego wina.

– Myliłaś się. A te obwódki wokół oczu Peytona pochodzą od tego, że uderzył o ziemię. Bix poza tym, że klapnął go lekko w ucho, walnął tylko raz.

Myślę, że nie byłoby źle, gdybyś przeprosiła Bixa. Nie twierdzę, że jest aniołem, ale zaraz traktować go jak mordercę to lekka przesada.

Książka od chemii wyslizgnęła się Celi z dłoni. Kiedy schylała się po nią, zauważyłam, że ma oczy pełne łez.

– Och, Katy, sama już nie wiem, co robić – powiedziała. – Wiem, o co ci chodzi. Wiem, że myliłam się co do tej bójkę i strasznie mi głupio, że zachowałam się tak paskudnie. To tak niepodobne do mnie. Sama nie wiem. Wstąpił chyba we mnie jakiś zły duch.

– Więc po prostu przeprasz Bixa. Od razu poczujesz się dużo lepiej.

– Nic nie rozumiesz. Jak go przepraszę, to on z kolei zacznie swoje wyznania miłosne. – Pociągnęła nosem. Twarz miała czerwoną jak piwonia. – Lubię go, ale czy musi być aż tak namolny? To... to... nie lubię tego – dokończyła łamiącym się głosem.

– Umiar nie jest najmocniejszą stroną Bixa – przyznałam niechętnie.

– Chcę tylko, żebyśmy zostali przyjaciółmi. Czemu nie możemy nimi być?

Było to odwieczne pytanie i nie znalazłam na nie odpowiedzi.

– Więc tylko go przeprasz. Będziesz przynajmniej miała czyste sumienie.

– To prawda. – Twarz Celi nieco się rozjaśniła. – Oczywiście, to źle ze strony Bixa, bardzo źle, że wdał się w bójkę, ale ostatecznie nie mogę wymagać, żeby wszyscy wokoło mieli takie same zasady jak ja. Niezbyt dobrze świadczyłoby to o moim rozumie. Najpierw go przepraszę, a potem zaproponuję przyjaźń.

– Brzmi to rozsądnie – mruknęłam.

Teraz, pomyślałam, muszę przekonać Bixa, żeby nie wrywał sobie od razu serca z piersi i nie rzucał go pod stopy Celi, bo ta mu odpowie: „To twoje serce? Też mi coś!”. Tak, tak, rola doradcy w sprawach sercowych to bardzo odpowiedzialna funkcja.

Następnego dnia odniosłam ogromny sukces. Udało mi się równolegle zaparkować samochód. Bix każdego popołudnia dawał mi intensywne lekcje jazdy i choć nigdy nie udało mi się spełnić jego oczekiwań, zachowywał się tak, jakbym jego zdaniem mogła już zdawać na prawo jazdy.

– Nie zapomnę ci tego, że wstawiłaś się za mną u Celi – powiedział zakłopotany, kiedy wracaliśmy już do mego domu.

– Wyrównasz ten rachunek, kiedy zdam wreszcie na prawo jazdy – odparłam. – Ale pamiętaj, co ci mówiłam. Traktuj to wszystko lekko. Traktuj Celię po przyjacielsku. Nie naciskaj. Jeśli zależy ci na moim zdaniu, powiem tylko, że już podbiłaś jej serce. Ale nie przesadz.

– Czy będzie przesadą, jeśli wyznam jej miłość? – spytał przez zaciśnięte zęby.

– Tak – odparłam szczerze. – Zapamiętaj moje słowa.

Bix lekko się uśmiechnął i zatrzymał samochód przed moim domem.

Wysiadłam z auta i pobiegłam do drzwi wejściowych.

– Mamo! – zawołałam. – Mogę już zdawać na prawo jazdy!

W progu kuchni pojawiła się moja matka. Wytarła ręce o fartuch.

– Co powiedziałaś, Katy? Coś o egzaminie na prawo jazdy?

– Bix twierdzi, że już mogę zdawać. Dziś zaparkowałam równoległe.

– Bix uczy cię jeździć?

– Tak.

– A mówiliście, że jeździcie do biblioteki.

Faktycznie, za pierwszym razem oświadczyłam mamie, że jedziemy do biblioteki. „Cześć mamo!” – zawołałam. „Wychodzimy!” Opuściliśmy dom, zostawiając mamę jej własnym domysłem.

– Przecież nie mogę jeździć do biblioteki codziennie – odparłam.

– Czyżbyś zainteresowała się Bixem? – spytała z uśmiechem mama. – Myślałam, że siedzicie nad książkami i szepczecie sobie czule słówka.

– Bix i ja? Chyba żartujesz! Więc kiedy pójdziesz ze mną na ten egzamin?

– Nie rozumiem, w jaki sposób Bixowi udało się nauczyć ciebie prowadzić samochód. Poza tym uważam, że w trakcie nauki jazdy w aucie powinien być z tobą ktoś dorosły.

– Mamo, jeździliśmy po bocznych drogach na terenie farmy jego wujka – wyjaśniłam i, żeby uniknąć dalszych, niewygodnych pytań, szybko ruszyłam do swojego pokoju. – Czy możemy pojechać na ten egzamin dziś po południu? To dla mnie bardzo ważne. W Hampstead ktoś, kto nie ma prawa jazdy, jest prawie wyrzutkiem społecznym. – Po chwili zastanowienia wyciągnęłam broń najcięższego kalibru. – Jak zdam, będę mogła wozić Caroline na lekcje baletu i gry na pianinie.

Zapewne za sprawą tego ostatniego argumentu matka zabrała mnie po południu na egzamin. Zdałam za pierwszym podejściem. Egzaminator pochwalił mnie przed mamą, że wspaniale opanowałam parkowanie równoległe, czym wprawił ją w nieopisane zdumienie. Podejrzywałam, że wspomnienie nowego plymoutha pana Barneya ciągle jeszcze pokutowało w jej świadomości.

Kiedy wręczono mi prawo jazdy, poczułam się aż nieprzyzwoicie dorosła. Ale mimo tego, że mogłam już samodzielnie prowadzić samochód, do szkoły wolałam w dalszym ciągu jeździć z Markiem. Przyzwyczaiłam się już do naszych wspólnych wypraw i myśl o samotnej jeździe budziła we mnie niechęć. Ponadto lubiłam przebywać w pobliżu Marka. Oczywiście nieustannie spotykałam się z nim w towarzystwie pozostałych chłopców z naszej paczki, ale to było już coś innego.

Kiedy następnego ranka wsiałam do niebieskiego studebakera, z dumą pokazałam Markowi prawo jazdy. Podniósł do oczu dłonie, jakby oślepił go ten widok.

- Wspaniale, Katy! Teraz już możesz jeździć samodzielnie – oświadczył.
- Zgadza się – odparłam, chowając prawo jazdy do kieszeni. – Ale czy nie zrobiłoby ci różnicy, gdybym do szkoły w dalszym ciągu jeździła z tobą?
- Pewnie, że nie.
- Dołożę się do benzyny.
- Tym się nie przejmuj.
- Widzisz, moja mama czasami w ciągu dnia potrzebuje samochodu i nie chce jej go pozbawiać.
- W porządku. Przecież mi nie przeszkadzasz.

Nie wspominałam Markowi, jak bardzo lubię przebywać w jego towarzystwie, ponieważ rygorystycznie przestrzegałam swoich sercowych zasad i nie chciałam być namolna. Ale w głębi duszy miałam nadzieję, że narodzi się między nami jakieś cieplejsze uczucie, choć szczegółów jeszcze nie rozważałam.

Skręciliśmy w szeroką aleję.

– Zrobiłaś prawo jazdy w samą porę – odezwał się Mark. – Przychodzi gorący czas. Halloween. Wielki dzień. Na ulice wyjdą poprzebierani ludzie – ostre kły, sztuczna krew, flaki, obrzydliwa zielona skóra, kaprawe, przekrwione oczka, słowem wszystko, czego potrzeba do dobrej zabawy. Jestem w komitecie organizacyjnym. Chcemy stworzyć kombinację tańców i karnawału, która, mamy nadzieję, przyciągnie więcej osób niż zeszłoroczny festiwal masek z dyni. Chcę ci zaproponować rolę cygańskiej wróżki w naszym magicznym namiocie.

– To super pomysł! – odparłam z radością. – Powalę wszystkich przepowiadaniem przyszłości. Ostatecznie jestem specjalistką od ludzkiego umysłu.

- I w dodatku cholernie skromną – dorzucił.
- Naturalnie. Och, już nie mogę się doczekać. A ty za kogo się przebierzesz?
- Za Marka Antoniusza. Owinę się prześcieradłem, a na głowę nałożę laurowy wieniec.
- A dlaczego nie za Juliusza Cezara? – spytałam.
- Juliusz Cezar był chody. A poza tym łysiał. A Marek Antoniusz, z tego co wiem, miał bujną czuprynę, a pod koniec życia trochę zwiariował. Rozumiesz, zbyt wiele wina, kobiet i śpiewu.
- No, tobie to nie grozi – powiedziałam, dając mu sójkę w bok. – Ale czy pomyślałeś o tym, że ludzie cię rozpoznaje? Prześcieradło i wieniec laurowy to kiepskie przebranie.
- Przy moim wzroście, bez względu na to, w co się przebiorę, każdy mnie pozna.
- Cóż, w takim razie wypada ci tylko życzyć, żebyś był rzeczywiście

zabójczym Markiem Antoniuszem. Chciałabym nawet zostać twoją Kleopatram, ale jako Cyganka wypadnę lepiej. Już to widzę: tajemniczy wschód, szklana kula... Jak myślisz, może powinnam zorganizować czarnego kota?

– Pomyliłaś Cygankę z wiedźmą. To wiedźmy mają czarne koty.

– Masz rację. Zwłaszcza że, gdybym miała czarnego kota, nie podszedłby do mego namiotu Peyton. Wiesz, jaki jest przesądny. A zamierzam przepowiedzieć mu przerażającą przyszłość.

– To wspaniały pomysł. A skoro już jesteśmy przy rzeczach przerażających, to moja młodsza siostra zamierza przebrać się za Drakulę. Będzie jedyną dziewczyną-Drakulą w trzeciej klasie podstawówki.

– Twoja siostra chodzi do trzeciej klasy? Więc chyba zna moją siostrę, Caroline?

– To bliskie przyjaciółki. Na przemian, w jednym tygodniu nienawidzą się, a drugi spędzają w pełni szczęścia razem, plotkując o swoich koleżankach.

– To zabawne, ale nic o tym nie wiedziałam. Caroline nie puściła na ten temat pary z ust.

– Może za rzadko bywasz w domu?

Musiałam przyznać mu rację, że przez ostatnie tygodnie bez reszty zajmowała mnie kwestia prawa jazdy.

– Nie sądziłam, że tak to będzie wyglądało. Łatwo ci mówić.

– Tak, stary pocziwy Mark, z którym można sobie pogadać – odparł z goryczą.

Nachmurzyłam się. Mark wpadł w jakiś dziwny nastrój. Nie wiedziałam, że potrafi być aż tak humorzasty. Pomyślałam smętnie, że bez względu na to, jak człowiekowi wydaje się, że zna ludzi, oni zawsze go czymś zaskoczą.

Już miałam mu wspomnieć o rozmowie z Celią, ale w ostatniej chwili poskromiłam język. Lepiej było nic o tym nie mówić. Po głębszym namyśle doszłam do wniosku, że Bixa nie ucieszyłoby to, że wszyscy wtrącają swoje trzy grosze w jego sprawy z Celią. Była to osobista, delikatna sprawa. Ja również nie chciałabym, żeby moi przyjaciele obserwowali z zainteresowaniem rozwój mojego romansu.

Mark miał rację twierdząc, że ludzi ogarnęła już gorączka Halloween. Pośród uczniów, którzy chcieli przebrać się za potwory, wybuchła panika, gdyż w sklepach zabrakło sztucznego śluzu. Nawet pani Fergusson dała za wygraną i, zamiast czytać nam bieżące wiadomości z prasy, całą lekcję poświęciła technicznym rozważaniom o zaletach gumy samoprzylepnej, szminki i peruk. Bobby Hinson powiedział, że kostiumów goryla wprawdzie nie brakuje, ale obawia się, że noc w Halloween może być bardzo ciepła, zbyt ciepła jak na takie przebranie, gdyby nawet nałożył je na gołe ciało. Esmee Parkinson twierdziła, że przy wyborze stroju trzeba być bardzo ostrożnym.

Poprzedniego roku przebrała się za prezent bożonarodzeniowy – wielką paczkę – i przez całą noc nie mogła usiąść w swoim kanciastym kostiumie. Billy Tyler starał się przekonać czterech chłopców, żeby udawali konie, a on wtedy odegra wielką rolę rzymskiego woźnicy rydwanu. Nie wątpiłam już, że Halloween stanowił dla uczniów liceum w Hampstead największe święto.

Po lekcjach podeszła do mnie z notatnikiem w rękę Phoebe Hatch – poważnie wyglądająca dziewczyna, której dotąd właściwie nie znałam.

– Mark powiedział mi, że usiądziesz w namiocie jako cygańska wróżka – oznajmiła, zapisując moje imię i nazwisko w notesie. – Namiot pożyczmy nam młodszy brat Tony’ego Alvareza. Jest to wigwam małego Indianina Boba, więc może zechcesz jakoś zakryć indiańskie symbole, jakie ma na zewnętrznych ściankach. Pani Wiggins pożyczysz szklaną kulę. Ja dam okrągły stolik. Czy masz jakąś serwetę?

Skinęłam potakująco głową. Pośród całego zamieszania czułam dumę, że wystąpię jako cygańska wróżka.

Phoebe nieoczekiwanie obrzuciła mnie taksującym spojrzeniem.

– Skąd znasz Marka? – zapytała. – Nie pamiętam ciebie ze szkoły.

– Poznałam go przez naszą wspólną przyjaciółkę – odparłam słodziutko. Zastanawiałam się, skąd ona zna Marka. Ciekawa też byłam, o co jej chodzi.

– Za kogo się przebierzesz? – spytałam, mierząc ją krytycznie wzrokiem.

Uśmiechnęła się.

– Za Mata Hari.

Wcale nie rozproszyło to moich wątpliwości. W domu przypomniałam sobie uwagę Marka. Może faktycznie ostatnio za mało czasu poświęcałam Caroline. Może powinnam okazać jej więcej zainteresowania, dowiedzieć się, jak jej leci w szkole, porozmawiać z siostrą tak od serca?

Zastałam ją przed wielkim lustrem w holu. Przymierzała właśnie ogromny różowy naszyjnik z plastikowych paciorków, na którego końcu wisiał otwierany medalion ze złocistym napisem „Sweetie Pie”. Całości dopełniały różowe buty joggingowe, czerwono-zielone pończochy, krótka różowa spódniczka oraz zielono-różowa kurtka. Nie wiedziałam, czy Caroline przebiera się za punka, czy za koktajl owocowy.

Usiadłam na krześle i przesłałam młodszej siostrze promienny uśmiech.

– Cześć, Caro – powiedziałam. – Jak leci?

Spojrzała na mnie podejrzliwie, otworzyła usta i krzyknęła:

– Maaamo! Katy mi dokucz!

– Wcale ci nie dokuczam! Chciałam się tylko przywitać i zapytać, jak ci leci w budzie. Słuchaj, za kogo się przebierzesz na Halloween?

Znów łypnęła na mnie podejrzliwie.

– Za wiedźmę.

To pasowało.

Postanowiłam, że stosunki z Caroline będę nawiązywała jednak stopniowo i w niewielkich dawkach. Być może zdobędę powoli jej zaufanie, wożąc ją samochodem na rozliczne lekcje.

Obecnie najważniejszą sprawą był mój kostium na Halloween. Jako cygańska wróżka musiałam przebrać się tak, żeby nikt mnie nie poznał. Ludzie nie uwierzą przepowiedniom, jeśli zobaczą, że Cyganką jest Katy Callahan, którą znają z piątej lekcji w pracowni matematycznej.

Postanowiłam pójść do sklepu z odzieżą, kupić skrawki materiału i własnoręcznie uszyć sobie bluzkę i cygańską suknię z falbankami. Następnie w drogerii na rogu kupiłam zestaw kosmetyków Dark Rachel, szminkę Ruby Lips oraz parę miedzianych kolczyków, które okazały się po prostu czadowe. Przypominały wyglądem malutkie klatki na ptaki. Uniosłam je delikatnie do światła i lekko potrząsnęłam. Miedziane krążki zadźwięczały o pręty klatek. Super. Jeszcze loki. Wiedziałam, że cyganka nie może mieć krótkich, puszystych włosów, takich jak moje. Zatrzymałam się więc w sklepie z perukami, gdzie nabyłam pęk długich włosów, które zamierzałam przypiąć grzebieniami do swoich. Jeśli jeszcze wepnę w nie kilka róż, będę wyglądała jak prawdziwa Cyganka.

Zrobienie kostiumu kosztowało mnie kilka bardzo pracowitych wieczorów, ale było to warte zachodu, ponieważ po zszyciu tych wszystkich skrawków tafty w kolorach pomarańczowym i zielonym – tylko takie mieli w sklepie – efekt był piorunujący.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W dniu Halloween w namiocie cygańskiej wróżki było tak duszno, że cieszyłam się w duchu, iż pani Wiggins, ze względów bezpieczeństwa, nie pozwoliła zapalić mi na małym stoliku świecy. Byłoby jeszcze mniej powietrza, a poza tym wcale nie potrzebowałam dodatkowego światła. Na drabinkach w sali gimnastycznej pozawieszano kolorowe lampki, których blask przebijał przez ścianki namiotu, dzięki czemu moja szklana kula lśniła dziwnym, tajemniczym blaskiem.

Z przeciwnej strony sali dobiegały dźwięki muzyki, a od strony tablicy z koszem okrzyki i chichoty, kiedy uczniowie próbowali gryźć zawieszane na sznurkach jabłka. Kiedy za ścianą namiociku przesuwała się jakaś tańcząca para, na płótnie poruszały się groteskowo zniekształcone, mroczne cienie.

Kłapa wejściowa odchyliła się i do środka wślizgnął się Mark.

– Przyniosłem ci coś na pokrzepienie – powiedział, stawiając filizankę obok kryształowej kuli. Popatrzył na niski, brezentowy sufit i niespokojnie poprawił tokę na ramieniu. – Dobrze, że nie cierpisz na klaustrofobię.

– Interes szedł znakomicie – odparłam. – Odkąd zaczęli grać, przychodzi wprawdzie dużo mniej osób, ale przedtem spędzałam czas bardzo pracowicie. Wszyscy chcą poznać przyszłość.

– I co im mówiłaś?

– Trochę dobrych rzeczy, trochę złych. Tak jest najbezpieczniej. Potem wstawiałam tajemniczego, wysokiego nieznanego oraz nieoczekiwany uśmiech losu. Bez tych atrybutów żadna przyszłość nie może być pełna. Następnie opierając się już na psychologii, mówiłam im, że pragną jakiejś

rzeczy, ale inna rzecz stoi temu na przeszkodzie.

– I to również było bezpieczne?

– Pewnie. Nikt nie jest zadowolony z tego, co ma. Nie przyniosłeś mi przypadkiem czegoś do jedzenia?

Sięgnął pod togę i wyciągnął z kieszeni garść słodyczy.

– Okazało się też, że siedzę w najbardziej strategicznym punkcie – oświadczyłam wbijając zęby w ciastko. – Słucham wielu interesujących rozmów. Ludzie przystają przy namiocie i rozmawiają ze sobą tak, jakby mnie w środku nie było. Myślę, że byłoby etyczniej, gdybym cały czas chrząkała.

– Ale nie chrząkasz?

– Cóż, zanim się pojawiłeś z tym ponczem, zaschło mi już trochę w gardle.

– A jaką przyszłość Cyganka przepowie mnie?

Pomachałam dłońmi nad szklaną kulą, przymknęłam oczy i odezwałam się gardłowym, cygańskim głosem:

– Widzę przy tobie prześliczną dziewczynę. Jest czarująca, inteligentna i szaleje za tobą. Tak... I widzę jeszcze coś. Coś, czego nie potrafię dobrze określić. Coś zaskakującego. Być może niebezpieczeństwo. Nie jestem pewna.

Mark z niepokojem pochylił się nad szklaną kulą.

– I coś jeszcze? – zapytał. Zachichotałam. – A widzisz? Ludzie chcą wierzyć w takie rzeczy.

Wyprostował się i znów odruchowo poprawił togę na ramieniu.

– Peyton jeszcze się nie pojawił?

– Jeszcze nie. Ale jeśli w ogóle przyszedł na zabawę, z całą pewnością nie ominie namiotu cyganki.

– Przyszedł. To jeden z trzech muszkieterów – ten w wielkim kapeluszu z piórem, w kubraku i z całym ekwipunkiem. Musieli wypożyczyć kostiumy w jakiejś wypożyczalni w Raleigh. No, ale ja się zmywam. Nie chcę go odstraszyć swoją osobą.

– Wpadnij później, to ci powiem, jak poszło.

Kiedy Mark wycofywał się z namiotu, przez chwilę myślałam, że pociągnie go za sobą. W końcu jednak jakoś wydostał się na zewnątrz. Dziecięcy namiotik Indianina Boba zdecydowanie nie był przeznaczony dla osób o posturze Marka.

Po jego wyjściu pojawiły się dwie dziewczyny z pierwszej klasy liceum. Weszły jednocześnie i w namiocie zrobiło się niesamowicie ciasno. Kiedy powiedziałam jednej z nich, że zrobi furorę na rynku papierów wartościowych, a drugiej, że pisana jej jest daleka podróż i romans, zaczęły tak gwałtownie chichotać, że trząsł się cały namiot. Miałam nadzieję, że wytrzyma do czasu pojawienia się Peytona.

Kiedy rozchichotane dziewczęta opuściły wreszcie moje królestwo, usłyszałam za plecami głos pani Wiggins. Aż podskoczyłam. Po chwili dopiero zorientowałam się, że nauczycielka znajduje się na zewnątrz.

– Nie wiem, Harvey – mówiła – ale myślę, że pole ryżowe to pomysł wart rekomendacji.

Po zgrzytliwym głosie, który jej odpowiedział, rozpoznałam trenera. Był wyraźnie przygnębiony.

– Tego mi jeszcze potrzeba. Nie dość, że mamy słabszy zespół, to jeszcze będę jedynym trenerem na konferencji, którego uczniowie chcą przekształcić boisko do futbolu w pole ryżowe. Czyż muszę ci mówić, jak wpłynie to na morale zawodników, którzy do końca nie będą pewni, kiedy zaczną taplać się w błocku jak kaczki?

W miarę jak się oddalali, ich głosy cichły. Nagle kłapa namiotu odchyliła się i do środka wpelzył Peyton. Żeby się tu dostać, musiał zdjąć swój olbrzymi kapelusz z podwiniętym rondem i olbrzymim strusim piórem. Położył nakrycie głowy na ziemi i pochylił się w moją stronę. Odruchowo się cofnęłam. Z jego ust bił straszny odór. Zauważyłam, że ma przekrzywiony sztuczny wąs, a twarz zaczerwienioną. Metodą zwykłej dedukcji doszłam do wniosku, że jest podпиты.

– Wróżysz? – spytał chwiejąc się na stołku.

– Tak – odparłam niskim, ochryplym głosem. – Cyganka prawdę ci powie. Cyganka przepowie ci przyszłość. Cyganka będzie czytać w twoich myślach.

Popatrzył na mnie niespokojnie. Pochylił się jeszcze niżej i próbował zajrzeć do środka szklanej kuli. Zasłoniłam ją dłońmi.

– Nie dotykaj szklanej kuli – powiedziałam kategorycznym tonem.

– No tak, przepraszam.

I wtedy stało się coś osobliwego. Uświadomiłam sobie, że nie mogę, jak zamierzałam, przepowiedzieć Peytonowi okropnej przyszłości, że wszystkie jego sprawy wyjdą na jaw, że zejda mu paznokcie, a zielona wiatrówka zostanie zachłapana atramentem, którego, nie da się sprać. Problem bowiem polegał na tym, że on święcie wierzył w tego typu przepowiednie. Nie mogłam zatem postąpić z nim w ten sposób. Uważałam, że to nieuczciwe.

Bardzo rozczarowana i niezadowolona z siebie odrzuciłam zatem ten pomysł i zaczęłam zwykłą grę.

– Przyszłość przyniesie ci rzeczy dobre i złe.

Oblizał usta.

– Znaczy się, taki worek ze wszystkim po trochu?

– Dokładnie tak. Widzę... nie mogę tego dokładnie rozpoznać... tak, widzę jakieś kłopoty, może niebezpieczeństwo. Trudno mi powiedzieć.

– A co z dziewczynami? – spytał Peyton.

– Kula jest bardzo zamglona. Trudno mi powiedzieć. Czeka cię podróz.

– Chodzi pewnie o ten wyjazd do Nowego Jorku – oświadczył. – Jedziemy obejrzeć kilka przedstawień.

– Być może. Trudno mi powiedzieć. Podróż. Widzę jakieś dziwne kształty, kolory, chaos. Wiele się dzieje. Tak, chaos.

Peyton rozejrzał się niespokojnie, znów pochylił się w moją stronę i zapytał szeptem:

– Powiedz mi jedno. Czy widzisz tam kogoś, kto został pobity?

To już było chamskie. Postanowiłam utrzyć mu trochę nosa.

– Nie widzę nikogo pobitego bez powodu – odparłam.

Zapadła długa cisza, a Peyton z rozdziawionymi ustami wpatrywał się w kulę.

– I to już wszystko? – zapytał.

– To już wszystko. Szklana kula przemówiła.

– Aha.

Podniósł kapelusz i trochę chwiejnym krokiem opuścił namiot. Po jego wyjściu poczułam się głupio. Miałam taką świetną okazję i zmarnowałam ją. Powinnam naprawdę solidnie go nastraszyć, ale nie wykorzystałam szansy. I co ja teraz powiem Markowi?

– Bix – rozległ się za moimi plecami głos Celi.

– Celia! – jego głos zabrzmiał tak blisko, jakby chłopak siedział na samej szklanej kuli. Musieli stać tuż obok namiotu.

– Chcę cię przeprosić za moje zachowanie podczas festiwalu Mozartowskiego – powiedziała niepewnie Celia. – Czuję się okropnie. Nawet nie wiesz, jak.

– Celia! – powtórzył Bix tonem kompletnego krety.

Ze zgrozą uświadomiłam sobie, że jest już za późno, żeby ostrzegawczo chrząknąć. Sytuacja okazała się zbyt krępująca, aby to uczynić. Mogłam więc jedynie cicho siedzieć i zasłaniać uszy.

Ale niestety, mimo najszlachetniejszych intencji, słyszałam wszystko.

– Daj mi spokój! – powiedziała Celia tym swoim tonem królowej lodu.

– Daj spokój! – odparł Bix. – Nie mogę znieść myśli, że jesteś na mnie wściekła. Przecież wiesz, co do ciebie czuję.

– Daj mi spokój albo zacznę krzyczeć – rzuciła zdecydowanie dziewczyna.

– Krzyczeć! Boże wielki, cóż ci takiego zrobiłem poza tym, że dostałem... dostałem bzika na twoim punkcie.

Bix najwyraźniej zapomniał o moich radach.

– Po prostu proszę cię, żebyś sobie poszedł i zostawił mnie w spokoju. Byłabym za to bardzo wdzięczna.

– Aaagh! – warknął Bix i chyba rzeczywiście odszedł, bo nie słyszałam więcej jego głosu. Słyszac cichy szloch Celi, zakryłam twarz dłońmi.

– Co się stało? – dobiegły mnie nagle słowa Peytona. Przerażona

otworzyłam oczy.

– Ach, to ty, Peyton – powiedziała Celia. – Tak straszliwie rozboleła mnie głowa... tak nagle... Wiesz, czasami miewam takie ataki. Może wyglądam, jakbym płakała, ale to nieprawda. Po prostu potrzebuję aspiryny czy czegoś...

– Mogę cię odwieźć do domu.

– Ależ ja tu przyszedłam z Susannah, Cissy i Alanem.

– Rozumiem. I nie chcesz psuć im zabawy.

– Czy ty też wybierałaś się już do domu?

– Jestem śmiertelnie zmęczony – rzekł Peyton. Jego słowa zabrzmiały przekonująco, bo był wstawiony i trochę bełkotał.

Ich głosy zaczęły cichnąć i nagle uświadomiłam sobie, że Celia naprawdę opuszcza zabawę z Peytonem. Z Peytonem, który nie tylko się upił, ale dostrzegł również wyśmienitą okazję, żeby odegrać się na Biksie. Byłam pewna, że gdyby Celia myślała rozsądnie, sama by zrozumiała, że wyjazd z Peytonem wcale nie jest dobrym pomysłem. A jeśli Peyton spowoduje wypadek? Albo zabierze ją nie tam, gdzie obiecał, na przykład nad jezioro?

Zerwałam się na równe nogi i wyrznęłam głową w maszt. Namiot zadygotał jak galareta, ale na szczęście nie runął. Wyciągnęłam spod stolika torebkę, wyjęłam z niej kawałek papieru i napisałam: „Cyganka poleciała na sabat”. Przypięłam kartkę do klapy namiotu za pomocą spinki do włosów. Falbanki mojej sukni furkotały, kiedy gnałam jak wariatka do drzwi wejściowych, a potem na parking. Nie wiedziałam dobrze, co chcę zrobić, ale sądziłam, że najlepiej będzie nie spuszczać Peytona i Celi z oczu. Potem już coś wymyślę.

Kiedy już wybiegłam na parking i zaczęłam się bacznie rozglądać, nieoczekiwanie obok mnie pojawił się Bix.

– Co się stało? – zapytał.

– Celia wyszła z Peytonem – wyjaśniłam. – A on jest pijany.

Bix wydał stłumiony, gardłowy okrzyk, a ja nagle zauważyłam zaparkowany nie opodal samochód mojej mamy. Było to szczęśliwe zrządzenie losu. Rzuciłam się w jego kierunku i wskoczyłam na miejsce dla kierowcy. Zanim zdążyłam zamknąć drzwi, Bix siedział już obok mnie i zapinał pasy.

Włożyłam kluczyk do stacyjki. Wszedł gładko, ale z jakiegoś tajemniczego powodu nie dał się przekręcić.

– Szybko zdążyłaś zapomnieć, jak włącza się silnik – zauważył z przekąsem.

– To nie to. Kluczyk: musi być skrzywiony albo coś w tym rodzaju. – Próbowałam ponownie go przekręcić, ale Bix nieoczekiwanie sięgnął do przycisku i otworzył maskę wozu. Wskoczył z samochodu.

– Co ty wyprawiasz? – krzyknęłam.

– Zapalaj! – dobiegł mnie z zewnątrz jego głos. Ujrzałam błysk metalu i, ku

mojemu zdumieniu, silnik gładko zaskoczył. Bix z trzaskiem opuścił klapę i wskoczył do samochodu. – Ruszaj – powiedział.

Wyprowadziłam auto z parkingu.

– Coś ty zrobił? – zapytałam.

– W szczyryku mam śrubokręt – wyjaśnił. – Zrobiłem krótkie spięcie. Którędy pojechali? Wyjechałam na ulicę przed szkołą i skręciłam na zachód.

– Mówił, że zawiezie ją do domu, więc musieli jechać w tym kierunku – odparłam.

– Dawno odjechali?

– Nie, przed chwilą.

– Przyśpiesz. – Bix zgrzytał zębami i nerwowo bębnił palcami o tablicę rozdzielczą. – Lepiej by było, gdybyśmy gonili ich moim samochodem – mruknął.

W tym momencie zauważyliśmy ich. Trzy czy cztery przecznice przed nami jechał dosyć niepewnie żółty chrysler Peytona.

– Mamy ich! – wrzasnął Bix.

– W porządku. Jeśli rzeczywiście wiezie ją do domu, to tutaj musi skręcić w lewo.

Jadący przed nami samochód zakołysał się i skręcił w prawo.

– Jedzie do miasta! – wykrzyknął Bix. – Co on wyprawia?

– Zapewne wybiera się nad jezioro.

– Aaagr! – Bix zacisnął pięści.

– Postaram się mieć ich cały czas w zasięgu wzroku – uspokoiłam go.

Skręciłam za nimi i także ruszyliśmy do śródmieścia.

Ulice, wzdłuż których ciągnęły się rozmaite magazyny i hurtownie, oświetlał blado księżyc. Okolica sprawiała upiorne wrażenie. Nie wiedziałam, co się stanie, kiedy wreszcie spotkamy się oko w oko z Peytonem i Celią. Na razie trzymałam się od nich w rozsądnej odległości kilku przecznic.

– Popatrz, jak nimi rzuca! – krzyknął Bix. – Peyton w ogóle nie powinien siadać za kierownicą. Przyśpiesz, Katy. Zajedź im drogę.

Oczywiście, ludzie lubią rzucać teksty zasłyszane w kinie. Zajedź im drogę Goń go! Zepchnij z szosy! Ale film to jedno, a życie to drugie. Z pewnością wiedziałam, jak parkować równolegle, ale na tym kończyła się moja wiedza kierowcy.

– Jezu słodki, na co ty czekasz, dziewczyno? Jedź. Albo nie, zatrzymaj się. Ja poprowadzę.

– Bix, bądź rozsądny. Nie możemy zajeżdzać im drogi samochodem mojej matki. Przecież skończy się to kraksą. A teraz bądź przez chwilę cicho. Muszę pomyśleć. Włącz radio. Przy muzyce lepiej mi się myśli.

Bix popatrzył na mnie ze zdumieniem.

– O czym ty gadasz?

Spojrzałam na tablicę rozdzielczą, ale radia nie zobaczyłam. Tam nigdy nie było radia. Popatrzyłam na Bixa ze zgrozą.

– Wsiadliśmy do cudzego auta! Nic więc dziwnego, że kluczyk nie pasował. Jedziemy skradzionym samochodem.

W podnieceniu nie zauważyłam, że mocniej naciskam pedał gazu i naraz znaleźliśmy się zaledwie o długość samochodu za autem Peytona.

Bix widząc, że jesteśmy już tak blisko, uśmiechnął się.

– Świetnie, teraz go zajedź.

Zanim jednak zdążyliśmy się pokłócić, co naprawdę należy zrobić, kiedy ściga się skradzionym samochodem pijanego kierowcę, żółty chrysler Peytona wjechał niespodziewanie na krawężnik, podskoczył, skręcił ostro na chodnik, wyrznął w ścianę magazynu i stanął.

Z samochodu natychmiast wysiadła Celia i wytarła dłonie o lśniącą od cekinów długą suknię. Na czubku jasnych włosów lśniła jej mała korona. Zapewne przebrała się za Titianę, królową wrózek.

Zatrzymałam samochód tuż za żółtym chryslerem.

– Ciekawa jestem, czy Peyton zrobił sobie jakąś krzywdę? – zaniepokoiłam się.

– Lepiej, żeby nic mu się nie stało, bo zamierzam go zabić – oświadczył gniewnie Bix.

Otworzył gwałtownie drzwi samochodu i wyskoczył na ulicę.

W tej samej chwili spostrzegłam, że za nami zatrzymuje się niebieski studebaker Marka, z Markiem i Fuzzym w środku. Zapewne zobaczyli, jak opuszczamy salę gimnastyczną i ruszyli naszym śladem. Podbiegłam do Celi, moje kołczyki w kształcie klatek na ptaki dźwięczały, suknia szeleściła. Bix otworzył drzwiczki chryslera i zaczął wyciągać zza kierownicy Peytona.

– Czy nic ci się nie stało, Celio? – spytałam bez tchu.

– Pewnie, że nic – odparła. – Peyton jest chyba pijany. Wcale mnie nie słuchał, kiedy mówiłam mu, jak ma jechać. Powiedziałam, żeby skręcił w lewo, ale on uparł się, że pojedziemy do parku nad jezioro. W końcu chwyciłam kierownicę i zaciągnęłam ręczny hamulec. – Popatrzyła w stronę Peytona. – Okropnie od niego cuchnie – mruknęła.

Peyton oparł się niepewnie o drzwiczki samochodu, a Bix zadał pierwszy cios.

Celia grymaśnie odwróciła głowę. Jak przez mgłę słyszałam tępe uderzenia i straszne jęki Peytona, kiedy Bix bił go po brzuchu, ale miałam na głowie ważniejsze sprawy niż porachunki chłopaków. Mark i Fuzzy, którzy zaparkowali tuż za nami, wyskoczyli z samochodu. Mark w todze, a Fuzzy w sferoidalnym przebraniu Humpty'ego Dumpty'ego. Kiedy spadł mu z głowy niebieski kapelusz, chłopak schylił się, żeby go podnieść.

Bliska placzu podbiegłam do Marka.

– Jak to dobrze, że jesteś – wyszło chałam. – Lada chwila pojawi się policja i, posłuchaj, to ważne... – zniżyłam głos. – Jechałam skradzionym samochodem.

Mark zamrugał oczyma.

– Co?

– Nieważne. Musimy się stąd jak najszybciej wynosić. Odciągnij Bixa od Peytona.

Peyton leżał już bezwładnie na chodniku, a pochylony nad nim Bix bezlitośnie okładał go pięściami. Wydawało mi się, że stracił cały zdrowy rozsądek. Mark ruszył w ich stronę szybkim krokiem.

– Fuzzy, chodź tu! – zawołał przez ramię. – Do tego potrzeba dwóch!

Fuzzy ruszył na pomoc. Był to dziwny widok, kiedy po opustoszałej, zalanej księżycowym światłem ulicy Humpty Dumpty kroczył obok starożytnego Rzymianina przybranego w togę.

Kiedy obaj próbowali przerwać nierówną walkę, ogarnięty furią Bix odwrócił się i z całych sił uderzył Marka. Ten zawył z bólu, ale Fuzzy wykorzystał moment, chwycił Bixa od tyłu i obalił go na ziemię.

Mark bez chwili namysłu runął całym ciężarem ciała na leżącego i przygoździł go do płyt chodnika. Peyton, niczym bezkształtny worek, leżał na ziemi. Sprawiał wrażenie półprzytomnego. Jego muszkieterski wąsik zwisał mu z twarzy przytrzymywany tylko jednym kawałkiem plastra. Najwyraźniej jednak Bix nie wyrządził mu większej krzywdy, gdyż po chwili dźwignął się ciężko z ziemi i wszedł do samochodu. Usłyszałam nawet cichy trzask zamka, kiedy blokował drzwi.

Unieruchomiony przez Marka Bix szalał.

– Puść mnie, Metcalf – chrząkał. – Zapłacisz za to. Połamie ci kości.

Usłyszałam dochodzące z daleka zawroźwienie syreny.

Podeszła do mnie Celia.

– Może jednak wrócimy na tańce – powiedziała cichym, ugrzecznionym tonem. Drżała z zimna.

– Lepiej idź do samochodu Marka – poradziłam. Jednym uchem słuchałam, jak Mark w prostych, dosadnych słowach klaruje Bixowi, dlaczego musimy się zrywać przed zjawieniem się policji. Widocznie słowa rozsądku zaczęły do niego docierać, bo nieco się udobruchał.

– Mogę cię już puścić? – zapytał Mark. – Minęło ci?

Bix wybuchnął śmiechem.

– Pewnie. Puść mnie, Metcalf.

Podniósł się z ziemi i wszyscy zgodnie pobiegliśmy do niebieskiego studebakera. Mark błyskawicznie zawrócił i, wciąż oglądając się niespokojnie, ruszyliśmy w kierunku szkoły.

Uciekając w panice z miejsca wypadku Mark, Fuzzy i ja bezmyślnie

słoczyliśmy się na przednim fotelu, zostawiając cały tył wozu Celi i Bixowi. Siedziałam ściśnięta między potężnie zbudowanym Markiem a kulistym Humptym Dumptym i było mi strasznie niewygodnie, choć bardzo lubiłam bliskość Marka, to w równym stopniu lubiłam też oddychać. Z najwyższym trudem odwróciłam się do Celi.

– Jak się czujesz? – zapytałam.

– Jestem chyba lekko skołowana.

Bix obrzucił ją tęsknym spojrzeniem. Najwyraźniej miał ochotę objąć dziewczynę, ale się bał.

– Trudno będzie nam to wszystko wytłumaczyć – zaczęłam – więc najlepiej nabierzmy wody w usta i o wszystkim zapomnijmy.

– Masz rację – skwapliwie zgodziła się Celia.

– Jestem ciekaw jednego: jak to się stało, że pojechałaś z Bixem kradzionym samochodem? – odezwał się Mark.

– Kradzionym samochodem? – jęknęła Celia prostując się.

– Zwykła pomyłka – wyjaśniłam. – Wyglądał tak samo jak samochód mojej matki i w pośpiechu wsiedliśmy do niewłaściwego wozu. To normalka. Każdemu może się zdarzyć.

– Kradziony samochód? – ponownie powtórzyła Celia, szeroko otwierając oczy.

– Nie przejmuj się – powiedziałam. – Wrócimy na salę i będziemy zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Chyba nikt z nas nie chce, żeby ta historia się rozniosła, prawda?

Celia zadrżała.

– Pewnie.

Staralam się ze wszystkich sił zachować optymizm.

– Może Peyton wcale nas nie rozpoznał? – zastanowiłam się głośno.

Popatrzyłam na Bixa, który w przebraniu Robin Hooda był łatwy do rozpoznania. Ale to akurat nie miało większego znaczenia. Gdyby Bix miał na sobie nawet kostium jakiegoś potwora o zielonej skórze z nosem pełnym brodawek, Peyton z pewnością rozpoznałby jego pięści.

– Wszystko to działo się zbyt szybko – dodałam z nadzieją w głosie. – A Peyton z całą pewnością był oszołomiony. Wracajmy na zabawę jakby nigdy nic.

Kiedy przed szkołą wysiadłam z samochodu, pomyślałam o odciskach palców, jakie zostawiłam na kierownicy skradzionego samochodu. Poczułam na całym ciele gęsią skórę.

– Zatańczymy? – zapytał Mark, kiedy minąwszy trybuny weszliśmy do sali gimnastycznej. Poczułam samolubną satysfakcję, kiedy ujrzałam, że Mata Hari tańczy z krępyim chłopcem przebrany za włóczęgę.

Mark wziął mnie za rękę i zaczęliśmy tańczyć wolny kawałek, ale

wydarzenia sprzed kilku chwil sprawiły, że czułam się fatalnie w mrocznej sali, pełnej groteskowych postaci. Wiszące na drabinkach kolorowe żarówki rzucały dziwny, nierealny blask na wszystko i wszystkich. Na cyklopa o pomarszczonym, mięsistym pysku, tańczącego obok dziewczyny przebranej za królika, jej białe futerko zmieniało szaleńczo kolory, w miarę jak obracała się w barwnym świetle. Inna dziewczyna, ze skrzydłami ważki i z cienkimi, czarnymi czułkami chwiejącymi się w takt jej ruchów, piła poncz, a kiedy spojrzała w naszą stronę, jej twarz zrobiła się odrażająco zielona. Zamknęłam oczy czując, że zaczyna kręcić mi się w głowie i za chwilę całkowicie stracę wszelką kontrolę nad sobą.

– Mark?

Pochylił się w moją stronę, żeby lepiej słyszeć.

– A co z odciskami palców? – szepnęłam. – Co będzie, jak znajdą moje odciski na kierownicy?

Delikatnie ścisnął mi dłoń.

– Niech cię o to głowa nie boli – powiedział. – Dopóki nie figurujesz w kartotekach policyjnych, nie mają twoich odcisków palców.

– Chyba masz rację.

Położyłam mu głowę na ramieniu i westchnęłam. W Marku było coś, co sprawiało, że czułam się przy nim bezpieczna. Wystarczyło, że trzymałam głowę na jego ramieniu, a ogarniał mnie niewysłowny spokój. W każdym razie spokój, jakiego mógł zaznać ktoś, kto w Hampstead był praktycznie tylko przelotem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Informacja o wypadku Peytona ukazała się w niedzielnej gazecie.

„Nie wykryto sprawców wypadku ulicznego i napadu, jakie miały miejsce w piątek wieczorem na North Inverness Road. Peyton Richardson junior, syn burmistrza Peytona Richardсона oświadczył, że około dwudziestej pierwszej trzydzieści na Inverness Road zajechał mu drogę biały sedan, spychając jego samochód na chodnik. Młodzi napastnicy – Richardson twierdzi, że byli wysocy, potężnie zbudowani i przebrani w stroje z Halloween – wywlekli go z auta i pobili. Pieniądzy nie zrabowali.

Policja prowadzi również śledztwo w sprawie kradzieży białej toyoty corolli, rocznik 1985, którą znaleziono na miejscu opisanego wyżej wypadku. Właściciel auta, trener Harvey Mather oświadczył, że samochód skradziono ze szkolnego parkingu tuż po ósmej wieczorem. Podczas wywiadu udzielonego tygodnikowi „Chronicle”, trener Mather zdecydowanie zaprzeczył plotkom, jakoby sprawcami napadu na Richardсона byli zawodnicy z jego drużyny piłkarskiej.

– Wszyscy moi chłopcy znajdowali się w tym czasie na zabawie – oświadczył. – Moim zdaniem jest to kolejna, nieudana próba zdyskredytowania śmiałego programu wychowania fizycznego w liceum w Hampstead. Chciałbym tu wspomnieć o nielicznej, ale bardzo hałaśliwej grupie uczniów zaangażowanych w idiotyczną akcję, której celem jest doprowadzenie do tego, żeby wszyscy jedli kleik ryżowy.

Odnaleziona toyota była nie uszkodzona”.

Po plecach przeszedł mi dreszcz. Odłożyłam gazetę. Wprawdzie byliśmy bezpieczni tak długo, dopóki Peyton będzie wierzył, że napadła go grupa potężnie zbudowanych bandziorów, ale po przeczytaniu artykułu w gazecie w dalszym ciągu drażył mnie robak niepokoju.

Rozległ się dzwonek u drzwi. W progu stał Bix. Ręce trzymał w kieszeniach.

– Chodź, przejedziemy się – powiedział bez wstępow.

Zrozumiałam, że chce porozmawiać w cztery oczy, więc bez słowa sprzeciwu poszłam za nim do samochodu i wsiałam do środka. Niebawem znaleźliśmy się na opustoszałych, szutrowych drogach w pobliżu farmy jego wujka.

– Wiem, że w piątek nawaliłem – odezwał się cicho Bix. – Sam nie wiem, co mnie naszło. – Uderzył pięścią w kierownicę. Zauważyłam, że ma pozdieraną na kłykciach skórę.

Ogarnęło mnie przygnębienie. Miał rację. Bijąc Peytona dał tak żalodne przedstawienie, że nawet ja, osoba bardzo mu zyczliwa, czułam zażenowanie, cóż więc dopiero mówić o Celii?

– Na szczęście nie wyrządziłeś mi większej krzywdy – westchnęłam. – W gazecie nic nie wspominają o tym, że potrzebował pomocy lekarskiej.

Bix jęknął, a ja zrozumiałam, że moja uwaga nie była najstosowniejsza.

– Poza tym to nie twoja wina, że tak się urząnął, iż nawet nie potrafił się bronić – dodałam szybko, żeby zatuszować nietakt.

Wyraz twarzy Bixa wyraźnie mówił, że chłopak czeka na jakieś bardziej pocieszające słowa.

– Kurcze, ale mam zgryz – jęknął. – Nie mogę sobie poradzić sam ze sobą. Ta wesz porwała Celię. Chciałem go zabić. Ale potem, kiedy już odjechaliliśmy z miejsca wypadku, poczułem się paskudnie. Sama wiesz, jak to jest, kiedy człowiek coś zmaluje i potem nie ma już drogi odwrotu.

Doskonale wiedziałam, o czym mówi. Czułam to samo, ilekroć przypominałam sobie skradziony samochód.

– Celia się do mnie nie odzywa – ciągnął ponurym głosem. – Zadzwoiłem do niej, ale odłożyła słuchawkę. A już myślałem, że między nami sprawy zaczynają się układać. Przeprosiła mnie na sali gimnastycznej na chwilę przed tym, jak zaczęła się cała draka. Powiedziała, że jest jej przykro z powodu tego, co wydarzyło się po koncercie. Ale kiedy już mnie przeprosiła... no cóż, chyba nie stanąłem na wysokości zadania.

Na pewno, pomyślałam. Bix oczywiście nie wiedział, że słyszałam każde słowo, jakie padło między nimi.

– Postanowiłem więc, że jutro po lekcjach podejść do Celii i z kolei ją ją przeproszę – kontynuował.

– To nie najlepszy pomysł. Powinniśmy trochę odczekać i zobaczyć, jak się ułożą sprawy. Moim zdaniem na razie musimy siedzieć cicho jak mysz pod miotłą i czekać, aż cała afera ucichnie.

Z bólem serca przyznałam, że moja wnikliwa znajomość psychologii w zaistniałej sytuacji okazała się dużo mniej przydatna, niż to zakładałam. Sprawy potoczyły się tak, że wymknęły się spod mojej kontroli. Rzucona tak nieoczekiwanie do Hampstead, straciłam w znacznym stopniu pewność siebie i chwilowo nie czułam się na siłach stosować moich sprawdzonych zasad w postępowaniu z ludźmi.

Ale Bix nadal się upierał, że w poniedziałek poczeka, aż Celia wyjdzie z lekcji francuskiego i wtedy powie jej, co naprawdę czuje. Z największym trudem wyperswadowałam mu ten pomysł. Tłumaczyłam, że korytarz w naszej szkole jest ostatnim miejscem odpowiednim do negocjacji w tak delikatnej, sercowej sprawie.

– Daj jej trochę czasu – radziłam. – Niech dziewczyna ochłonie.

Nie chciałam mu tego wyraźnie mówić, ale byłam pewna, że Celia jest tak wzburzona tym, co stało się w noc Halloween, że gdyby Bix nadal narzucał jej swoje towarzystwo, przepędziłaby go raz na zawsze.

Nie było łatwo przekonać Bixa, że chwilowo należy zostawić sprawę w zawieszaniu i za swój wielki sukces uważałam, że w poniedziałkowe popołudnie zamiast zbierać sprzed klasy, w której Celia miała lekcję francuskiego, strzępy Bixa, siedzieliśmy całą paczką w domu Bixbych i objadaliśmy się lodami na patykach. Byłam tak z siebie dumna, że udała mi się ta sztuka, iż na chwilę zapomniałam nawet o kłopotach, jakie sprawiał nam Peyton, ta glista-nad-glistami.

Mark wyciągnął się na kanapie w salonie i z umiarkowanym powodzeniem próbował wsunąć do ust od razu dwie porcje lodów.

– A wiecie, co jest w tym wszystkim najgorsze? – zapytał.

– Nie – odrzekłam.

– Najgorsze jest to, że nigdy nie przytrafiła nam się taka awantura, kiedy była z nami Chris. Założę się, że dziewczynisko pochoruje się z zazdrości. Miałas od niej jakieś wieści, Katy?

– Jedną kartkę z Bahama – odparłam. Wolałam raczej nie rozmawiać o Chris. Nikt nie musiał mi przypominać, że moja cioteczna siostra nigdy nie zwędziła samochodu.

– Też macie czym się przejmować – odparł Fuzzy, odchylając mocno głowę do tyłu i łapiąc ustami krople z topniejącego loda. – Amatorzy wycieczek cudzym samochodem rzadko kiedy wpadają. Tak twierdzi mój stary.

Oparłam głowę na skórzanym obiciu fotela i popatrzyłam ponuro w sufit. Zauważyłam, że Bix jest dziwnie małomówny.

Ciszę przerwało dopiero głośnie beknięcie Marka.

– Chyba już nie powinienem jeść więcej lodów – oznajmił z wyraźnym żalem.

Zerwałam się z fotela.

– Ale ja mogę – powiedziałam. – Wezmę sobie jeszcze jednego.

Pomaszerowałam do kuchni i otworzyłam lodówkę.

– Pusta! – zawołałam. – Bix, nie masz więcej lodów?

– W garażu. W zamrażarce – odparł, nie ruszając się z wielkiego fotela.

Wciągnęłam sweter i wyszłam z pokoju. Oprócz stojącej w kącie obok warsztatu stolarskiego zamrażarki, w wilgotnym garażu Bixbych znajdowało się jeszcze wiele innych dziwnych przedmiotów: sznury do suszenia bielizny, kosiarka do trawy, piła, dwa zniszczone koziolki do cięcia drewna, cały zestaw rowerów różnej maści i wielkości, trochę kartonowych pudeł z napisem „Jumble Sale” oraz stół pingpongowy z zerwaną siatką. Podejrzywałam, że samochód nie był tu garażowany od co najmniej dziesięciu lat. Rodzice Bixa traktowali po prostu to pomieszczenie jako składnicę rupieci. Garaż zawsze był otwarty, żeby w deszczowe dni młodszy bracia Bixa mieli gdzie się bawić.

Uniosłam klapę zamrażarki, sięgnęłam po lody, ale moje palce trafiły tylko na śliską folię, która w dodatku nie była pokryta lodem. Otworzyłam więc zamrażarkę na całą szerokość i zajrzałam do środka. Na paczkach z mrożoną wieprzowiną leżało kilka plastikowych woreczków. Wydało mi się to dziwne. Najbardziej zastanawiające było jednak to, że w woreczkach była wysuszona trawa. Wyjęłam jeden z nich i zaczęłam go z uwagą badać. Aż jęknęłam. Była to marihuana. Widziałam ją kiedyś na lekcji, kiedy ostrzegano nas przed narkotykami. Wyglądała dokładnie tak samo, jak zielsko, które teraz miałam przed sobą.

Ale co robiła marihuana w zamrażarce Bixa? Czyżby jego rodzice mieli tutaj swój prywatny magazynek? Zaraz sobie jednak uprzytomniłam, że przecież wielbny George Bixby i jego żona z całą pewnością nie trzymaliby narkotyków w zamrażarce. Działo się tu coś dziwnego.

Odłożyłam woreczek, wyciągnęłam karton lodów i wróciłam do kuchni. Wsunęłam go do lodówki i przeszłam do pokoju.

– Bix?

Ten poderwał głowę i dopiero wtedy zorientowałam się, że mam zmieniony głos.

– Czy wiesz, że masz w zamrażarce marihuanę? – spytałam.

– Co?

Mark zaczął niezadarnie podnosić się z kanapy.

– To Peyton – oświadczył. – Rozdział drugi. Peyton znów uderzył.

Wytrącona nieco z równowagi zamrugałam oczyma.

– Jestem pewien, że masz rację, Mark – odparł Bix. – Musimy to

paskudztwo gdzieś ukryć.

– Ale gdzie? Może pod dywanem? – zasugerował Mark.

– Broń Boże. Jak ktoś na nią wlezie, zaszeleści – odrzekł Bix. – Katy, ile jest tej marihuany?

– Mnóstwo – odrzekłam. – Peyton poniósł kolosalny wydatek, żeby ciebie wrobić. Pieniądze najwidoczniej nie mają dla niego znaczenia.

– Może pod tapczanem? – odezwał się Mark. Podniósł mebel, pod którym znaleźliśmy kilka opakowań po gumie do żucia oraz piętnastocentówkę.

– Musi to być miejsce, do którego twoja mama nie dotrze podczas sprzątanania – powiedziałam nerwowo. – To jest największy problem.

– Największym problemem jest to, że lada chwila mogą pojawić się gliny – uściślił Mark. – Musimy pomyśleć.

– I moja mama – dodał pobladły nagle Bix. – Powinna już być. Pojechała odebrać z treningu piłkarskiego bliźniaki.

Rozejrzałam się gorączkowo po pokoju. Kiedy już zaczynałam wpadać w panikę, za drzwiami prowadzącymi na taras ujrzałam doniczki z kwiatami, którymi matka Bixa obstawiła obie, strony tylnych schodów.

– Geranium! – wykrzyknęłam. – W nich na pewno nie będą szukać.

Ruszyliśmy gremialnie do garażu i wyciągnęliśmy z zamrażarki torebki z marihuaną. Potem biegiem wróciliśmy na schody na tyłach domu. Chłopcy podawali mi torebkę po torebce, a ja, siedząc na stopniach, ostrożnie wyciągałam kwiaty z doniczek. Rośliny miały gęste korzenie i wychodziły bez kłopotu. Co ważniejsze, na beton wysypywało się bardzo niewiele ziemi. Składałam dokładnie każdą torebkę i wkładałam ją na dno doniczki. Następnie wsuwałam sadzonkę z powrotem. Z całą pewnością nikt nie zorientuje się, że kwiatki rosną nieco wyżej.

– To naprawdę super pomysł – oświadczył z entuzjazmem Mark. – Masz zadatki na rasowego przestępcę, Katy.

Skrzywiłam się. Od czasu kradzieży toyoty byłam uczulona na przestępstwa.

Właśnie kończyłam zamiatać schodki, kiedy usłyszeliśmy zajeżdżający przed dom samochód. Rzuciłam z hukiem miotłę na schodki i galopem wróciliśmy do salonu. Rozsiedliśmy się w krzesłach, fotelach i na kanapie, przybierając obojętne pozy i znużone miny, zupełnie jakbyśmy byczyli się tak od kilku godzin.

Bix poszedł otworzyć drzwi.

Po jego wyjściu każda sekunda wlokła się jak ślimak.

– Gdzież on się podział? – szepnęła w końcu Fuzzy. – Może już go aresztowali?

W tej samej chwili dobiegł nas dźwięk zapuszczanego silnika. Mark wyrzwał przez uchyloną firanek w kuchni.

– Odjechali – oświadczył. – Ale nie wiem, czy nie zabrali ze sobą Bixa. Kiedy w końcu otworzyły się tylne drzwi i stanął w nich Bix, miał niespokojną minę i zmarszczone czoło.

– Myśleliśmy już, że cię aresztowali – powiedziałam.

– A dlaczego mieliby mnie aresztować? – spytał buńczucznie. – Za posiadanie mrożonej wieprzowiny? Mówię wam... dobrze wiedzieli, gdzie szukać. Od razu poszli do garażu i otworzyli zamrażarkę. Powiedzieli, że dostali anonim... – urwał i po chwili dodał: – To na pewno Peyton.

– Oczywiście – potwierdził spokojnie Mark. – Nigdy już nie zostawi cię w spokoju. A my nie możemy przecież wiecznie liczyć na szczęście.

Bix opadł ciężko na krzesło.

– Musimy wymyślić jakiś sposób, żeby go unieszkodliwić – powiedział cicho.

Przez chwilę oczyma duszy widziałam Peytona ze skrępowanymi rękami i nogami.

– To musi być coś naprawdę chytrego – dodał, spoglądając na mnie z nadzieją. – Nie możesz nic wymyśleć, Katy?

Potrząsnęłam głową. Z radości, że Bix nie zamierza ganiać Peytona z kijem baseballowym, dostałam chwilowego zaćmienia umysłu.

Mark pomaszzerował do lodówki po kolejną porcję lodów. Już w drodze do pokoju zdejmował z nich papier.

– Musimy go zdrowo przyszpilić – powiedział kategorycznie.

Popatrzyłam na niego tępo. Nie miałam zielonego pojęcia, o co mu chodzi.

– Jak powiedział Bix, musimy go unieszkodliwić na dobre – ciągnął Mark.

– Czy mógłbyś mówić jaśniej? – zapytałam. – Nie łapię, na czym polega twój łajdacki plan.

– To proste – odrzekł Mark. – Zwrócimy mu aparaturę stereo. Ciągłe jest w bagażniku mego auta. Niech się potem tłumaczy przed rodzicami, dlaczego zgłosił kradzież, skoro sprzęt cały czas był u niego. Chodzi mi o to, że państwo Richardson z pewnością już wystąpili o odszkodowanie. Będą zdumieni, kiedy zobaczą tę aparaturę. Potem jakoś podrzucimy mu marihuanę. Musimy tak zrobić, żeby znaleziono ją przy nim.

– No, nie wiem – wtrąciłam. – Nie jestem pewna, czy to uczciwe. Nie chcemy chyba zniżyć się do jego poziomu.

– A co w tym złego, że oddamy mu jego własne rzeczy? – zapytał Mark zadowolony ze swego pomysłu. – Sami widzicie, jak to wygląda. Peyton jest człowiekiem, który ma kłopoty z samym sobą. Pije wódkę, zażywa narkotyki. Zapewne potrzebuje pomocy. Tak, sir, potrzebuje pomocy! A my mu pomożemy. Kiedy o jego problemach dowiedzą się stosowne czynniki, stary, dobry Peyton otrzyma pomoc, jakiej potrzebuje.

Musiałam przyznać, że Mark trafił w dziesiątkę. Jego logika była

miażdżąca.

– Pozostaje tylko problem, jak to wykonać technicznie – napomknęłam nieśmiało.

Mark rzucił się na kanapę i zaczął lizać lody.

– Zarysowałam wam ogólną strategię – oświadczył. – Szczegółami zajmiecie się wy.

– Nie będzie łatwo zwrócić mu aparaturę – zaczęłam głośno myśleć. – Aby efekt był pełny, należy zorganizować wszystko tak, jakby stereo nigdy nie opuszczało jego domu. Nie możemy przecież odesłać go pocztą ani włamywać się, żeby odstawić je na miejsce.

– Wcale nie doradzałam włamania. To zbyt ryzykowne – zastrzegł Mark.

– Więc co proponujesz? – spytałam rozdrażniona.

Machnął beztrąsko lodem.

– Nie wiem. A jak ludzie wnoszą stereo do domów?

– Przynosi je posłaniec ze sklepu – odparłam i popatrzyłam spod zmrużonych powiek na Fuzzy'ego.

Spojrzał na mnie czujnie.

– To nam nie pasuje – oświadczył.

– Musimy najpierw dobrze obejrzeć jego dom – powiedziałam.

– Katy, ty masz komputer w głowie – zauważył Mark. – Nie, wcale się nie wygłupiam. Nie patrz tak na mnie. Naprawdę w ciebie wierzę.

– Bix nie może się tam pokazywać – snułam swoje rozważania. – Jeśli Peyton go zobaczy, nabierze podejrzeń. – Popatrzyłam na Marka. – Ty też nie. Jesteś zbyt duży i rzucasz się w oczy. A Fuzzy? Fuzzy również odpada. – Fuzzy odetchnął z wyraźną ulgą. – Najlepiej będzie, jak ja się tym zajmę.

– Ależ nie możesz podejmować się tak niebezpiecznego zadania – zaprotestował Bix. Rozśmieszyło mnie to, że sprzeciw wyszedł właśnie od niego.

– Wcale się nie wybieram do mieszkania Peytona – wyjaśniłam. – Chcę się tylko zorientować, kto i kiedy bywa u nich w domu oraz ustalić czas, kiedy najlepiej odnieść aparaturę. Po prostu będę obserwowała dom, to wszystko. – Zaciśnęłam usta. – Szkoda tylko, że nie mam doświadczenia jako detektyw.

Był to najślabszy punkt mego planu, w którym nie mógł mi pomóc nawet Freud.

– To proste – odezwał się Mark. – W telewizji widziałem to nieraz. Najpierw spacerujesz po okolicy, dajmy na to z psem. Wtedy robisz wstępne rozpoznanie. Potem owijasz sobie głowę chustą i jeździsz tam na rowerze. Następnie nakładasz okulary i udajesz, że sprawdzasz liczniki. Nic prostszego.

– Trudna sprawa – mruknęłam. – Musimy to naprawdę dobrze rozważyć.

Wtem przypomniałam sobie, że najwyższa pora odebrać Caroline z lekcji

gry na pianinie. Ku memu zdziwieniu do samochodu odprowadził mnie Bix.

– Trzymasz się jakoś? – zapytałam, kiedy podeszliśmy do mego auta. – Nos do góry. Nie przejmuj się, że Peyton bez przerwy zastawia na ciebie pułapki. Zrobimy wszystko, żeby trzeci raz nie uderzył.

Wsiadłam do samochodu i włożyłam kluczyk do stacyjki.

Bix oparł się o drzwiczki auta i ciężko westchnął.

– Nie chodzi o Peytona. Peyton to pestka. Martwi mnie Celia. Nie mogę przestać o niej myśleć.

Bixowi brakuje instynktu samozachowawczego, pomyślałam. Na jego miejscu myślałabym właśnie o Peytonie.

Ale postanowiłam być pobłażliwa.

– Rozumiem – mruknęłam.

– Odnoszę wrażenie, że wbrew pozorom Celii na mnie zależy – powiedział.

– Czy naprawdę uważasz mnie za wariata?

– Co do Celii może masz i rację – odparłam dyplomatycznie.

Bix trzepnął pięścią w rozwartą dłoń.

– Więc co mam zrobić?! – wykrzyknął. Popatrzyłam na niego z troską.

– Na wszystko przyjdzie czas. Najpierw unieszkodliwimy Peytona.

– Ależ ja tak nie potrafię – jęknął.

Zaczynałam pojmować, czemu Mark powiedział, że we współczesnym świecie nie ma miejsca dla rycerzy w srebrzystych zbrojach. Czy sir Galahad przeżyłby liceum w Hapstead? Jeśli się głębiej nad tym zastanowić, to z praktycznego punktu widzenia tacy ludzie jak: Romeo czy młody Lancelot byli tu równie nie na miejscu jak błędny rycerz.

W normalnym życiu istnieją ważniejsze sprawy niż miłość – na przykład odrobienie pracy domowej czy uniknięcie aresztowania. Najlepiej by było, gdyby Bix zapomniał chwilowo o wielkich porywach serca i razem z nami zajął się rozwiązaniem obecnego kryzysu.

– Nie martw się. Wszystko będzie dobrze – pocieszyłam go.

Ale cały problem polega na tym, pomyślałam odjeżdżając, że to ode mnie zależy, czy wszystko będzie dobrze.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Przede wszystkim przejrzałam katalog w bibliotece, najpierw szukałam hasła „Inwigilacja”, a potem „Techniki kamuflażu”. Bez rezultatu. Tępe karty katalogowe w nieskończoność prezentowały jakieś idiotyczne, nikomu niepotrzebne tematy, na przykład: „Południowa Karolina: Opis – Komunikacja – Rolnictwo – Uprawa winogron”. Ale na temat, jak unieszkodliwić Peytona, nie było nic a nic.

Najbardziej odpowiadałyby mi jakieś elektroniczne środki obserwacji, żebym mogła wszystko widzieć, a jednocześnie trzymać się z daleka od domu Peytona, najlepsze byłoby podsłuchowe odgałęzienie telefoniczne lub odbiornik satelitarny. Ponieważ jednak byłam zwykłą uczennicą w zwykłym liceum, a nie agentem CIA, takie pomysły mogłam spokojnie odrzucić. Nie dysponowałam ani aparaturą podsłuchową, ani antenami satelitarnymi. Pozostały jedynie metody zaproponowane przez Marka.

Po powrocie z biblioteki zajrzałam do książki telefonicznej i zapisałam sobie adres Peytona. Następnie z mojej peruki z Halloween zrobiłam kok, który przypięłam sobie do włosów pięćdziesięcioma spinkami, do kieszeni wsadziłam okulary ojca oraz notatnik i pojechałam do domu Peytona. Samochód zaparkowałam przecnicę wcześniej i niby przypadkowo, z nudów, zaczęłam włóczyć się po Baker Street.

Zauważyłam, że takie pozornie przypadkowe włóczenie się przed czyimś domem jest dużo trudniejsze niż przypuszczałam. Nie wiedziałam, co robić z rękoma i zupełnie nie mogłam sobie przypomnieć, co robią ludzie zażywający świeżego powietrza na spacerze.

Kiedy ujrzałam przed sobą skrzynkę na listy z wymalowanym napisem „Richardsonowie”, zatrzymałam się gwałtownie i najwyższym wysiłkiem woli zmusiłam się, żeby ruszyć dalej obojętnym krokiem. Spoglądając ukradkiem w lewo zauważyłam, że dom Peytona jest rozległym, jednopiętrowym budynkiem. Front ocieniał portyk z białymi kolumnami, a po obu stronach drzwi stały wielkie donice w stylu chippendale z żółtymi chryzantemami. Na wschodniej ścianie domu znajdowały się drzwi kuchenne wychodzące na wyłożone kamieniami patio, udekorowane takimi samymi donicami jak front budynku. Do patio przylegała kratowa drewniana altana pomalowana na zielono. Z radością skonstatowałam, że całą posiadłość otacza żywopłot z ostrokrzewu i innych zarośli. Doskonale miejsce do ukrycia się.

Udałam, że z uwagą oglądam rosnący przy chodniku, tuż obok skrzynki na listy, niecierpek, dzięki czemu mogłam dokładniej przyjrzeć się rozkładowi domu. I właśnie wtedy w bocznych drzwiach pojawiła się kobieta w białym kitlu i fartuchu. Stała na schodkach i zaczęła otrząpywać z kurzu szczotkę.

Zauważyłam też, że na podjeździe stoi tylko jeden samochód, jakiś stary niebieski model z zardzewiałą rurą wydechową. Z pewnością należał do sprzątaczk. Wynikało z tego, że w domu prawdopodobnie jest tylko ona. Mógł to być bardzo istotny szczegół.

Wyprostowałam się i szybko odeszłam od domu. Byłam z siebie bardzo zadowolona. Za pierwszym podejściem zdobyłam niebywale istotną informację – we środy po południu u Richardsonów urzęduje sprzątaczk, a kiedy ona jest, wydaje się, że gospodarze opuszczają dom.

Nieobecność właścicieli była psychologicznie łatwo wytłumaczalna. Kiedy ktoś pojawia się, żeby wysprzątać dom, właściciel czuje się bardzo niezręcznie, kiedy tak sobie leży i oddaje się lekturze, podczas gdy inna osoba odkurza dywany i obija sobie kostki dłoni czyszcząc wanny. W takie popołudnie lepiej wybrać się do przyjaciół na brydża lub zrobić zakupy i nie mieć poczucia winy. Dla naszej operacji dzień, kiedy u Richardsonów jest tylko sprzątaczk, był idealny.

Po powrocie do siebie natychmiast zadzwoniłam do Marka.

– Słuchaj, chyba coś mam – powiedziałam. – We środy po południu u Peytona urzęduje wyłącznie sprzątaczk.

– Jesteś tego pewna? Może dzisiejsza środa jest wyjątkiem. Lepiej sprawdźmy to jeszcze za tydzień. Wtedy się upewnimy.

– Nie, myślę, że w przyszłą środę już zaryzykujemy. Nie wiemy, co nowego szykuje Peyton. Poza tym Bix nie wytrzyma długo takiego napięcia.

– Sam nie wiem, co robić – powiedział z wahaniem Mark. – Zaczynam się w ogóle zastanawiać, czy to ma sens. Może mój pomysł nie był najlepszy? Co innego pogadać i powyglupiać się, a co innego zabierać się do tego na serio.

– Poczytaj kodeks karny, a przestaniesz trząść portkami – zaproponowałam

brutalnie. – Spójrz na to od strony Bixa. Poza tym, czy masz lepsze rozwiązanie?

W słuchawce zapadła głucha cisza. Po chwili usłyszałam głos Marka:

– Nie mam.

– Zatem ustalone. Rozpoczynamy operację „Żądło”.

Ale tak naprawdę nie, było to wcale proste. Bix, Fuzzy, Mark i ja kilka godzin stawiliśmy przy sklepach monopolowych i warzywnych szukając kartonów, w które planowaliśmy zapakować aparaturę stereo. Następnie Fuzzy musiał pożyczyć od swego kuzyna Freddy’ego furgonetkę. Najwięcej pomysłowości wymagała charakterystyka Fuzzy’ego na dostawcę ze sklepu. Ze swoim głupkowatym uśmiechem i włosami w śmiesznym kolorze musztardy żadną miarą nie przypominał dostawcy.

Na właściwy pomysł wpadł Mark. W książce telefonicznej zajrzał pod hasło „Mundury”.

– Mundury – powiedziałam z uznaniem. – To dobry pomysł. Udowodniono doświadczalnie, że z psychologicznego punktu widzenia uniform wywiera bardzo pozytywne wrażenie.

Operacja „Żądło” pod żadnym względem nie była przedsięwzięciem tanim. Zakup benzyny do furgonetki Freddy’ego, koszt kwiatów w kwaciarni „Rajski ogród” oraz wypożyczenie munduru kompletnie wykończyło nas finansowo. Ale wiedziałam, że jeśli uda się nam załatwić Peytona, i tak wywinie się tanim kosztem.

W następną środę pomogliśmy Fuzzy’emu załadować wszystko do samochodu.

– Fuzzy, teraz wszystko zależy od ciebie – oświadczył nieco pompatycznie Bix.

Fuzzy pobladł i głośno przełknął ślinę.

– Nadajesz się do tego zadania jak nikt inny – zapewniłam go szybko. Wszyscy wiedzieliśmy, że jeśli idzie o robienie z siebie głupka, Fuzzy nie miał sobie równych. A tylko dostawca o idiotycznym wyglądzie Fuzzy’ego zapewniał realizację naszego planu. – Nie musisz się niczego bać.

Fuzzy obliznął wargi.

– Lepiej, jak wezmę ze sobą swoją kostkę – wymamrotał. – To moja szczęśliwa kostka.

Bix i Mark popatrzyli na mnie pytająco. Wzruszyłam ramionami.

– Może to być istotne z punktu widzenia psychologicznego – zgodziłam się.

Bix podbiegł do samochodu Fuzzy’ego i odwiązał wiszącą przy wstecznym lusterku czerwoną kostkę. W kilka chwil później dyndała już przy lusterku w furgonetce. Twarz Fuzzy’ego zaczęła znów przybierać normalną barwę.

– Tylko pamiętaj: spoko, i jeszcze raz spoko – ostrzegł Mark.

– I nie patrz sprzątacze prosto w oczy – doradził Bix. – Trzymaj głowę

lekką spuszczoną, a daszek czapki zakryje ci twarz. To może być ważne, gdyby coś nie wyszło.

Twarz Fuzzy'ego znów zaczęła zmieniać barwę.

– Wszystko pójdzie dobrze – powiedziałam zdecydowanie. – Operację omysłiliśmy w najdrobniejszym szczególe.

– Pewnie – dodał Mark. – Lądowanie w Normandii nie było lepiej przygotowane. Cóż może się nie udać?

– A jeśli sprzątaczką zawiadomiła ich telefonicznie, że zachorowała? – spytał nieoczekiwanie Bix.

– Nie zachorowała – odparłam. – Sprawdziłam to. Kilkanaście minut temu zatelefonowałam tam i poprosiłam panią Richardson. Sprzątaczką powiedziała, że państwa nie ma w domu.

Mark klepnął Fuzzy'ego po ramieniu.

– No, ruszaj, twoja chwila wybiła, Fuzzy. Ktoś z takim mózgiem jak twój nie skwasi sprawy.

Nie byłam pewna, czy do końca przekonaliśmy Fuzzy'ego. Zauważyłam tylko, że kiedy odjeżdżał, nerwowo dotykał palcami kostki.

Furgonetka dobrze jeszcze nie zniknęła za rogiem, kiedy Bix popatrzył na mnie i rzucił nieoczekiwanie:

– Nie wyrobię. Jadę za nim.

Pobiegliśmy do samochodu Bixa, wskoczyliśmy do środka i pojechaliśmy śladem auta Fuzzy'ego. Fuzzy, który był już o jedną przecznicę przed nami, skręcił na skrzyżowaniu tak gwałtownie, że myśleliśmy, iż się wywróci, my, z Bixem za kierownicą, naturalnie nie mieliśmy kłopotu z dotrzymaniem mu tempa.

Kiedy zbliżaliśmy się już do domu Peytona, powiedziałam do Bixa:

– Tutaj skręć w prawo. Za domem Richardsonów jest porośnięty drzewami placyk. Tam zostawimy samochód i przekradniemy się do żywopłotu.

Zaparkowaliśmy na nie zabudowanej parceli i ruszyliśmy przez sosnowy zagajnik. Kiedy zbliżyliśmy się na tyle, że widać już było piętrowy budynek, każdy trzask gałązki pod naszymi stopami wydawał się być salwą karabinową. I wtedy wpakowałam się prosto w suche winorośla.

– Nie zatrzymujcie się – szepnęłam, rozpaczliwie mocując się z suchymi badylami. – Idźcie, bo straciecie całe widowisko.

Oderwałam z kolana ostatni splot winorośli i szybko dołączyłam do chłopaków. Byli już przy żywopłocie z ostrokrzewu.

– Wiedziałam, że te chaszczki się przydadzą – mruknęłam.

Posuwaliśmy się gęsiego wzdłuż wyjątkowo bujnego w tym miejscu żywopłotu. Minęliśmy majaczący po drugiej stronie ogromny, biały garaż i dotarliśmy do miejsca, w którym nad naszymi głowami pojawił się zielony dach altany. Wyliczyłam, że stąd będziemy mieli najlepszy widok na

kuchenne wejście do domu. Podchodzenie bliżej byłoby już czystym szaleństwem.

– Tutaj zostaniemy – zakomunikowałam szeptem.

Ostrokrzew był gęsty a doskonale nas chronił przed okiem sprzątaczk. Niebezpieczni byli jedynie ciekawscy sąsiedzi, którzy mogli się nami zainteresować. Na szczęście wszystko wskazywało na to, że we środy wszyscy sąsiedzi Peytona gościli u siebie sprzątaczk, przed każdym większym domem w okolicy stało stare, zdezelowane auto. Miałam też nadzieję, że sprzątaczk będą zbyt zajęte myciem podłóg, szorowaniem ubikacji lub oglądaniem w telewizji „Dynastii”, żeby zainteresować się zaczajonymi przy żywopłocie dziećmi.

Ostrożnie i powoli wstaliśmy z ziemi i zaczęliśmy obserwować zasłonięty dotąd przez gęsty żywopłot dom. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzeliśmy, był stojący przed kuchennymi drzwiami Fuzzy z wielkim, kartonowym pudłem w rękach. Nad nim, z założonymi na fartuch dłońmi, górowała sprzątaczk. Nie słyszeliśmy, co mówi Fuzzy, ale widzieliśmy, że wskazuje głową najpierw na trzymane w rękach pudło, a później na zaparkowaną na podjeździe furgonetkę.

Kobieta pochyliła się, zablokowała drzwi drewnianym klinem i Fuzzy, lekko zataczając się pod ciężarem pakunku, minął ją i zniknął w głębi domu. Wstrzymaliśmy oddechy, ale ku naszej uldze Fuzzy nie wybiegł od razu z domu w panice. Dopiero po kilku minutach wyszedł statecznym krokiem, wrócił do furgonetki i wziął następny karton. Kolejno wnosił do domu pudła z poszczególnymi elementami stereo. Na końcu w progu pojawiła się sprzątaczk i wyciągnęła spod drzwi klin. Fuzzy uchylił szarmancko czapki, uśmiechnął się w swój głupkowaty sposób i pomaszerował do furgonetki.

Uważając na każdy najdrobniejszy szczegół, za co musiałam go podziwiać, wsiadł do samochodu i zaczął go cofać. Następnie zatrzymał się gwałtownie i z wyrazem zdumienia i zgrozy – godnymi Marcela Marceau – wznosił ręce i znów podjechał do przodu, parkując w tym samym miejscu co przed chwilą.

Wysiadł z furgonetki i ponownie zapukał do kuchennych drzwi. Tym razem trzymał w dłoniach pleciony, biały kosz z kwiatami. Z naszego punktu obserwacyjnego za gęstwiną ostrokrzewu podziwialiśmy jego mimikę wyrażającą wstyd, przeprosiny i niesmak do samego siebie. Wręczył sprzątaczce kosz kwiatów i zniknął wewnątrz domu.

Kilka minut później wyszedł, dźwigając pierwsze pudło. Osobiście wydawało mi się, że trochę przesadza udając, że pudło jest aż tak ciężkie, lecz zdawałam sobie sprawę, jak bardzo stara się sprawiać wrażenie, iż dźwiga ciężar, podczas gdy w rzeczywistości karton był już pusty. Jedno po drugim wynosił pudła i wkładał je do furgonetki. Następnie znów uprzejmie uchylił czapki, wsiadł do samochodu i odjechał. Widzieliśmy, jak sprzątaczk

pokiwała głową, po czym weszła do domu.

Chwyciłam Marka i Bixa za ręce.

– Udało się! Jezu słodki, udało się!

– Dobrze to odegrał – powiedział z uznaniem Mark. – Słowo honoru, prawie mnie przekonał, że dostarczył te pudła przez pomyłkę.

Przedarliśmy się przez zarośla do samochodu i ruszyliśmy do domu Fuzzy’ego. Zakręty braliśmy na dwóch kołach. Kiedy dotarliśmy na miejsce, Fuzzy już na nas czekał. Zdjął czapkę i wycierał czoło chustką do nosa.

Rzuciłam się w jego stronę.

– Fuzzy, byłeś cudowny, po prostu genialny!

Zarumienił się.

– Rzeczywiście chyba wszystko poszło dobrze – przyznał. – Zniosłem je, jak mówiliście, do pokoju Peytona. Nie sądzę żeby sprzątaczką coś widziała. W ogóle się mną nie interesowała aż do chwili, kiedy wróciłem z tymi kwiatami. Tu ją nieco zatkało.

– A co napisałeś w liściku? – spytał Mark.

– Podpisałem: „Cicha wielbicielka”.

– To ta cicha wielbicielka tak ją zatkała – oświadczył Mark. – Była zdziwiona, że Peyton w ogóle ma wielbicielkę.

Poczułam, że opuszczają mnie wszystkie siły i oparłam się o karoserię samochodu. Od początku wiedziałam, że wszystko się uda, ale dopiero teraz zrozumiałam, ile nerwów mnie to kosztowało i jak byłam spięta.

– Nie zapominaj, że pod okropną powierzchownością Peytona...

– ...znajduje się serce czarne jak świńskie ucho – dokończył za mnie Mark.

Fuzzy schował chusteczkę do tylnej kieszeni dżinsów.

– Muszę napić się piwa imbirowego – oświadczył.

Kiedy szliśmy w stronę domu, Mark objął mnie i zanucił „Waltzing Matilda”.

Na myśl o sukcesie poczuliśmy przyprawiającą o zawrót głowy radość.

Matka Fuzzy’ego była w garażu. Siedziała na stercie starych czasopism i odnawiała krzesło. Czubek nosa miała usmarowany brązowym lakierem, a jej kasztanowe, kręcone włosy były potargane i przypominały nieco fryzury w stylu afro. Nigdy specjalnie nie zwracałam uwagi na matkę Fuzzy’ego, ale teraz na widok jej kręconych, brązowych włosów zastanawiałam się chwilę, po kim Fuzzy odziedziczył swoją idiotyczną, musztardowego koloru czuprynę. Zapewne w jakiś sposób rozprostował ją i rozjaśnił. W każdym razie musiał coś takiego zrobić, bo na pewno nie urodził się z włosami koloru musztardy.

– I jak wasz żarcik, dzieciaki? – spytała pani Wallace.

– Wspaniale – odparłam. – Peyton zamartwi się na śmierć nie wiedząc, kim jest ta jego cicha wielbicielka.

Nie muszę chyba mówić, że nie wtajemniczyliśmy matki Fuzzy'ego w szczegóły naszej operacji, powiedzieliśmy tylko tyle, ile było niezbędne.

– Im dłużej się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że prościej było zamówić posłańca z kwiaciarni, niż brać furgonetkę Freddy'ego, pożyczać uniform i tak dalej – oświadczyła matka Fuzzy'ego, wykonując pęczkiem metalowych wiórków szeroki gest.

– Ale tak było śmieszniej – szybko wtrącił Mark.

Nawet Fuzzy zorientował się, że koniecznie należy zmienić temat rozmowy.

– Wypijemy trochę piwa imbirowego, mamó – powiedział – a potem pojedziemy do Lakeside.

Energicznie potarła krzesło wiórkami.

– Nigdy nie wiem, dzieci, co wy tam robicie.

– Och... różne rzeczy – odparł niedbale Fuzzy. – Spotykamy się ze znajomymi, zatrzymujemy się tu i tam, jemy hamburgery – odparłam.

– I lody u Brandle'a – dodał Mark. – I gorące precelki u Shorty'ego. I francuskie frytki w zajeździe przydrożnym. I trufle czekoladowe w sklepie cukierniczym. I pachnący popcorn w „Fancy Free”.

– Dosyć! Dosyć! – zawołała ze śmiechem matka Fuzzy'ego. – Piwo czeka w lodówce.

W kuchni Fuzzy nalał wszystkim po szklance, a ja wzniosłam toast:

– Za Fuzzy'ego i drugą część operacji „Żądło”.

– Drugą część? – spytał Fuzzy i natychmiast na jego twarzy pojawił się wyraz niepokoju. – Na czym ma ona polegać?

– Nie wiem – odparłam. – Jeszcze wszystkiego nie przemyślałam.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przywykłam już do nieoczekiwanych wizyt Bixa, który bez zapowiedzi pojawiał się w moim domu, zabierał mnie na przejażdżkę samochodem i rozmawiał o Celii.

– Ostatnio dużo o niej myślałem – oświadczył, kiedy wyjeżdżaliśmy z miasta.

– Minęło już kilka dni od chwili, kiedy oddaliśmy Peytonowi stereo – zmieniłam bezlitośnie temat. – Ciekawa jestem, jak poradził sobie z tym problemem.

Bix wzruszył ramionami.

– Na pewno zauważył sprzęt i zdążył go ukryć przed powrotem starych. Może dlatego nic się nie dzieje.

– Albo inaczej – odparłam. – Rodzice urządzili mu piekło, ale my jesteśmy ostatnimi osobami, którym się z tego zwierzy. Ostatecznie nie jesteśmy jego kumplami od serca i z całą pewnością nie nam powiedziałby o swoich kłopotach. Sami musimy dowiedzieć się, jak kij popłynął. To denerwujące nie wiedzieć, czy pierwsza część operacji „Żądło” odniosła przewidywany skutek. A jednocześnie muszę obmyślić część drugą! Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nie przychodzi mi do głowy żaden pomysł. Czasami aż śnię o tym w nocy, już, już wydaje się, że mam gotowe rozwiązanie, ale kiedy po przebudzeniu sięgam po długopis, wszystko się rozplywa i nic nie pamiętam. Co to może znaczyć?

– Nie wiem – roześmiał się Bix. – Nie brzmi to zbyt logicznie. Czy na balu Klubu Łacińskiego też będziesz przepowiadać przyszłość?

– Zgadza się. Zrobiłam taką furorę na Halloween, że poproszono mnie, żebym i tym razem wróżyła, ale zbierając już datki na Klub. Muszę wymyślić nowe przepowiednie, bo przecież zjawi się wiele osób, które były w moim namiocie podczas poprzedniej zabawy.

– Do Klubu Łacińskiego należy Celia – poinformował mnie Bix, nie odrywając wzroku od ciągnącej się przed nami drogi.

– Nie sądzę, żeby pojawiła się u mnie – odparłam. – A jeśli nawet, to doskonale będzie wiedzieć, kim jestem i natychmiast nabierze podejrzeń, jeśli jej powiem, że gwiazdy przeznaczyły jej ciebie.

– Wiem o tym – powiedział Bix. – Ale jeśli się pojawi, wtrąć o mnie dobre słowo.

Wyszczерzyłam zęby.

– *Laudabo*, Bix.

– Co?

– Pochwalę Bixa. To po łacinie.

– Jesteś dobrym kumplem, Katy.

– *Katy est amicus magnus* – przyznałam z uśmiechem.

– Mogłabyś mówić po ludzku? – przerwał mi Bix.

Pomyślałam, że moja łamana łacina faktycznie może denerwować, ale nie sądziłam też, żeby wałkowanie na okrągło tematu Celi było rzeczą bardziej frapującą. Nie wypowiedziałam naturalnie głośno tej refleksji, ponieważ wiedziałam – nawet lepiej niż Fuzzy i Mark – jak nieszczęśliwy jest Bix.

Kiedy wróciłam do domu, w progu przywitała mnie Caroline wykrzykując:

– Wuuwuerwuer!

Przypomniała mi się od razu wyliczanka z trzeciej klasy szkoły podstawowej i poczułam nieprzewartą ochotę uduszenia mojej młodszej siostry. Nagle zauważyłam, że na szyi ma różowy, plastikowy medalion. Coś mnie tknęło. Odpowiedź. Zdałam sobie sprawę, że znalazłam rozwiązanie drugiej części operacji „Żądło”.

– Caroline? – zaszczebotałam słodziutko. Popatrzyła na mnie podejrzliwie.

– Czego?

– Skąd masz ten naszyjnik?

Trwożliwie zakryła go dłońmi.

– Jest mój – odparła.

– Wiem, kochanie, że jest twój – szczebotałam dalej jak idiotka. – Ale chcę wiedzieć, gdzie mogę taki kupić.

– W sklepie Toy Mart. Paige Metcalf i ja mamy takie same. Niektóre dziewczynki mają purpurowe, ale ja nie lubię purpury. Ani żółci. Toni Winstead ma żółty i wygląda w nim ordynarnie. Najlepsze są różowe. – Otworzyła kciukiem wieczko medalionu. W środku było coś niebieskiego i bez kształtu. – Tutaj możesz trzymać na przykład fotografię albo coś innego,

rozumiesz? Paige i ja trzymamy w nich gumę do żucia, tak że pani Steed nie może jej znaleźć i obie chowamy się za drzewo i spokojnie sobie zujemy.

– Urocze – mruknęłam, oglądając dokładnie medalion. Przez cały czas widocznie męczył mnie podświadomie problem Peytona, bo oto nagle miałam gotowe rozwiązanie, tak cudownie proste i wyraźne, że nie mieściło mi się wprost w głowie, iż na ten pomysł nie wpadłam wcześniej.

Wybiegłam z domu, wskoczyłam do samochodu i pojechałam do Toy Mart, gdzie dowiedziałam się, że duży plastikowy medalion Sweety Pie kosztuje pięć dolarów. Musiałam wrócić do domu i prosić mamę o zaliczkę na konto mojego kieszonkowego. Poznałam już gorzką prawdę, że zemsta jest imprezą bardzo kosztowną.

Następnego popołudnia w domu Bixa rozpoczęliśmy realizację drugiej części operacji „Żądło”. Padał deszcz, a przez otwarte drzwi garażu wpadały zimne poddmuchy wiatru. Ukłękłam na wilgotnej, betonowej podłodze i na gazecie położyłam pięć medalionów. Fuzzy i Mark, stali nade mną, przytrzymując nogami końce gazety, żeby nie zwiął jej wiatr. Kiedy już skończyłam z wisiorami, wstałam, a Bix z kolei pociągnął je czarną farbą w sprayu, chmurka lakieru trafiła przy tym na tenisówek Fuzzy’ego. Farba wyschła błyskawicznie. Wtedy delikatnie odwróciłam medaliony i Bix powtórzył operację. Ukłękłam, wzięłam do ręki naszyjnik i popatrzyłam nań krytycznie.

– To za mało – powiedziałam. – Brakuje jeszcze czegoś.

– Wiem! – wykrzyknął Fuzzy. – Czerwonej ręki!

Popatrzyliśmy na niego pytająco.

– Wiecie, runów, znaków magicznych.

– To da się zrobić – oświadczył Bix.

Ruszył do stojącej za ławą szafy i przyniósł małej pędzelek oraz pojemnik z czerwoną farbą do malowania modeli lotniczych.

– Daj mi medalion – polecił. Niechętnie mu go wręczyłam.

– Tylko uważaj. Kosztował pięć dolarów – ostrzegłam.

Pominął moją uwagę milczeniem. Pochylił się nad czarnym przedmiotem i, używając pędzelka tak delikatnie, jakby malował sobie rzęsy, z precyzją wschodniego kaligrafa, szybko namalował na medalionie czerwony znaczek, po czym położył wisior tak, żebyśmy mogli podziwiać jego robotę.

Popatrzyłam na małej wzorek na lewej stronie medalionu. Wyglądał tak, jakby stała w tym miejscu myszka, która przed chwilą bawiła się w miseczce z truskawkami. Sprawiał zadziwiająco złowieszcze wrażenie. Ale fakt, rysunek wykonany został perfekcyjnie.

– Niech mnie szlag trafi, jeśli nie wygląda to jak potężny talizman – zauważył Mark.

– Aż ciarki idą po krzyżu – zgodziłam się.

W niecałe pięć minut Bix uporał się z pozostałymi medalionami.

Kiedy skończył, ułożyłam je półkolistnie na gazecie i zaczęliśmy kontemplować nasze dzieło.

– Chłopcy – odezwałam się z satysfakcją. – Myślę, że możemy zająć się produkcją czarnoksiężskich amuletów.

Byłam z siebie bardzo dumna, gdyż na pomysł wpadłam dosłownie w ostatniej chwili. W najbliższy piątek miał odbyć się doroczny bal Klubu Łacińskiego, najważniejsze dla mego planu było to, że przy okazji miałam zbierać datki.

Klasy z językiem łacińskim przegłosowały wprawdzie stosunkiem głosów 300 do 50, że chcą zorganizować saturnalia, ale pani Phineas zbyt dobrze знаła uczniów a liceum w Hampstead, żeby zwiody ją te demokratyczne wybory i bez chwili namysłu anulowała wyniki głosowania. Upredzając argumenty uczniów, że orgie były autentycznym obyczajem rzymskim i młodzież w szkole powinna poznać ten szczegół historii, a także zdecydowanie przeciwstawiając się odtworzeniu wydarzeń idów marcowych – co mogło przekształcić się w rozróbę – oznajmiła, że podczas balu zorganizowany zostanie bufet. Następnego dnia dowiedzieliśmy się szczegółów: w bufecie będą oliwki, mrożone winogrona, pieczywo, sałatka, pieczone kurczaki oraz słodycze. Członkowie Klubu Łacińskiego mieli pojawić się w rzymskich strojach, to znaczy owinięci na kształt tóg w prześcieradła. Zapowiedziano również orację Klubu Dyskusyjnego na temat uprawy ryżu, a trzyosobowa orkiestra szkolna „Szynki z Kością” miała uświetnić zabawę autentyczną jakoby muzyką rzymską, którą ponoć zrekonstruowali muzykolodzy. No i miał być też namiot, w którym Kasandra przepowiadać będzie przyszłość. Kasandra – czyli ja.

Kiedy pani Phineas zapoznała nas z tymi planami, natychmiast zrozumiałam, że ja, jako Kasandra stanę się gwoździem programu. W porównaniu z orgią czy morderstwem Cezara, odegranym przy wydatnej pomocy keczupu, moja rola byłaby drętwa. W porównaniu z oracją i muzyką, która ostatnio na listach przebojów była w dziesiątym roku naszej ery, moja rola budziła dreszcz emocji.

W dniu imprezy wrócił ponownie do łask namiocik małego Indianina Boba. Tym razem stał tuż za stołami, które pełniły rolę bufetu.

Salę gimnastyczną oraz długie stoły nakryte białymi obrusami i zastawione wazami z czerwonymi winogronami zalewało zimne, fluorescencyjne światło jarzeniówek. W moim namiocie natomiast panował tajemniczy półmrok, w którym Kasandra miała przepowiadać przyszłość.

Żeby zachować *incognito*, przezornie skryłam się w namiocie jeszcze przed przybyciem gości. Nie chciałam, żeby Peyton ujrzał mnie w jaskrawym świetle sali gimnastycznej i odkrył, że Kasandra jest po prostu jedną z jego

szkolnych koleżanek.

Byłam naturalnie owinięta prześcieradłem. Jedno ramię miałam gołe, na drugim spięłam prześcieradło pożyczoną od mamy broszką z kości nosorożca.

Zamiast kosmetyków Ruby Lips i pudru Dark Rachel, których użyłam jako Cyganka Esmeralda, do wcielenia się w rolę Kasandry potrzebowałam mleczka kosmetycznego i zwykłej mąki. Charakteryzacji dopełniały czarne obwódki wokół oczu i, naturalnie, ogromna ilość mascary. Siedząc w namiocie przy stoliku, przeglądałam się w kieszonkowym lusterku i robiłam ostatnie poprawki makijażu. Na końcu włożyłam perukę. Kasandra była gotowa na spotkanie z ludźmi.

Kilka minut później Mark, który pojawił się z jedzeniem, na mój widok o mało nie wypuścił z rąk talerza.

– Jezu Nazareński! – wykrzyknął. – Wyglądasz jak żywy trup. Gorzej, wyglądasz jak ktoś, kto umarł tydzień temu.

– Na wypadek, gdybyś o tym nie wiedział, pragnę cię poinformować, że Kasandra nie lubiła żartów – odparłam. – W ogóle bogowie starożytni nie mieli poczucia humoru.

– No cóż, wesoło nie wyglądasz, więc zapewne masz rację. – Położył na stoliku tekturowy talerzyk z jedzeniem. – Wziąłem to, zanim jeszcze wynieśli wszystko do bufetu. Pomyślałem, że kiedy już zaczną sprzedawać, ty nie będziesz miała czasu na jedzenie. Nastaw się na tłumy klientów.

Wzięłam udko kurczaka i zaczęłam je ogryzać.

– Dzięki. Postąpiłeś bardzo rozsądnie. Też sądzę, że Kasandra będzie dzisiaj popularna. Widziałeś Peytona?

– Bez nerwów. Widziałem go przed chwilą. Pani Phineas kazała przyjść dzisiaj wszystkim uczniom. W przeciwnym razie na pewno by się nie pojawił. Kiedy ostatnio widziałas w Lakeside jego złotego chryslera? Peyton stał się mizantropem.

– No cóż. Kiedy wydała się sprawa ze stereo, starzy postawili mu szlaban na wyjścia z domu. A to znaczy, że pierwsza część operacji „Żądło” odniosła skutek.

Skończyłam udko, wytarłam je dokładnie serwetką i schowałam do kartonowego cylindra.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał zaintrygowany Mark, spoglądając na tekturową rurkę po papierowym ręczniku, którą pomalowałam na czerwono i zrobiłam z niej magiczną grzechotkę.

– To jeden z rekwizytów do przepowiadania przyszłości – wyjaśniłam, wytrząsając na stolik całą kolekcję kości, które zebrałam po ostatnim niedzielnym obiedzie. – Wydaje mi się, że w czasach Kasandry nie znano jeszcze szklanych kul. Kasandra czytała z wnętrzości zwierząt i z kości.

– To miło z twojej strony, że zrezygnowałaś z wnętrzości – oświadczył Mark.

– Pewnie, nie ma sensu przesadzać z autentycznością – zgodziłam się.

Z zewnątrz dobiegł dźwięk strojonych instrumentów. W każdym razie wydawało mi się, że orkiestra je stroi, ale równie dobrze mogła to już być ta autentyczna rzymska muzyka, ponieważ zespół nie przestawał rzępić.

– Wynoszę się – powiedział Mark.

– Dlaczego? Nie chcesz dowiedzieć się, co cię czeka w przyszłości?

Rozsiadł się na taborecie.

– Niedowiarek – powiedziałam, patrząc na niego z wyrzutem. Wytrząsnęłam na stolik kości z tekturowej rurki i zaczęłam je bacznie studiować.

– Z pazura nogi można stwierdzić, że jesteś lew – zaintonowałam najbardziej tajemniczym i nawiedzonym tonem. – Kasandra zna twoją naturę. Wie, że uwielbiasz ciastka i słodycze, że kochasz przyjemności i śpiew. – Delikatnie podniosłam z okrągłego stolika kostkę z udka kurczaka, włożyłam ją do tekturowej rurki i dla większego efektu potrząsnęłam nią. – Koniec wieńczy dzieło. Kieruj się mądrością i sercem, a fortuna będzie ci sprzyjać.

Mark wybuchnął śmiechem i założył ręce na piersi.

– Niezła jesteś – pochwalił.

– Czy nie przesadzam? – zapytałam. – Czy nie jest to zbyt słodkie?

– Zawsze możesz wtrącić coś w rodzaju: „Biada! Biada! Widzę krew!” i ostrzec, żeby chrześcijanie trzymali się z daleka od lwów.

W kilka minut po wyjściu Marka pojawiła się pierwsza klientka – Marnie Nichols, przewodnicząca Klubu Łacińskiego. zauważyłam, że klamra spinająca na jej ramieniu togę jest otwarta. Postanowiłam to wykorzystać.

Potrząsnęłam kośćmi i, nie patrząc na rozpiętą broszkę Marnie, przyłożyłam dłoń do czoła.

– Opada! – krzyknęłam. – Widzę, jak opada!

Marnie szeroko otworzyła oczy.

– Chyba nie masz na myśli moich stopni? – zapytała nerwowo.

Popatrzyłam na kości.

– Nie, to nie dotyczy stopni. To spadnie jeszcze dziś, przed końcem zabawy. Strzeż się! Och, strzeż się! Potęgą człowieka nie opiera się wyłącznie na zaletach umysłu i ciała, nawet metal może zawieść. – Przyłożyłam palec do ust i wyszeptalam: – Pamiętaj, czas jest ojcem wszelkiej prawdy.

– No tak – odparła Marnie. – Czy mogę to zapisać? Trudno mi od razu wszystko spamiętać.

– Pewnie, że możesz. Nasze przepowiednie są oparte na księgach Sybilli. A teraz proszę o dolara. – Wzięłam od niej banknot i schowałam do stojącego

pod stołem słoika po majonezie.

– A może masz wroga, któremu życzysz jak najgorzej? – zapytałam. – Mamy specjalny talizman chroniący przed nieprzyjacielem. Kosztuje jedynie pięćdziesiąt centów. Musisz go nosić przez dwa tygodnie, a twego wroga dosięgnie przeznaczenie.

Marnie popatrzyła na mnie z zainteresowaniem, po czym rozejrzała się z niepokojem.

– Ale zbyt wielka krzywda jej nie spotka? – zapytała. – Myślę o moim wrogu. Nie chcę, żeby przytrafiło się jej coś bardzo złego.

– Och, naturalnie, że nie. Nie kłopotcz się.

– Życzę jej tylko drobnych nieprzyjemności. – Zachichotała. – Biorę ten amulet. – Wyciągnęła z portfeliaka dwie dwudziestopięciocentówki i położyła na stole. Kiedy wręczyłam jej amulet, ujęła go w palce i chwilę oglądała. – Piękny – mruknęła.

– Ale pamiętaj, musisz go nosić przez tydzień.

– Mówiłaś, że przez dwa tygodnie.

– Racja, dwa tygodnie. Tydzień na rzucenie samego uroku i drugi tydzień dla wzmocnienia jego siły.

Marnie uśmiechnęła się radośnie i pierwszy, zadowolony z usługi klient Kasandry opuścił namiot.

Zaraz po Marnie pojawił się Peyton. Najwyraźniej nie tracił czasu. Zauważyłam, że obwódki wokół jego oczu prawie całkowicie zniknęły, przybierając lekko żółtawy kolor. W przeciwieństwie do balu Halloween był zupełnie trzeźwy. Włosy miał dokładnie uczesane – sprawiały wrażenie plastikowej peruki – a togę idealnie wyprasowaną i dopasowaną do ciała. Usiadł na taborecie i pochylił się w moją stronę.

– Wiesz, że bardzo przypominasz Cygankę? – zapytał. – Czy jesteście spokrewnione?

– Tak, ale to bardzo dalekie pokrewieństwo – odparłam cofając nieco głowę..

– Ona była dobra – szepnął. – Przepowiedziała, że czeka mnie podróż, masa kłopotów, a nawet niebezpieczeństwo. Trafiła w dziesiątkę.

Pomyślałam, że należy zmienić temat i wytrząsnęłam kości na stolik. Peyton obrzucił mnie zaintrygowanym spojrzeniem.

Popatrzyłam na kości i uważając, żeby nie uderzyć w sufit namiotu, dramatycznym gestem wzniosłam rękę.

– Biada! Biada! – krzyknęłam. – Mrok, mrok i ciemność czają się wokół ciebie. Z kości wynurza się mściciel.

– Co mówisz? – zaniepokoił się Peyton. – To nie brzmi zbyt dobrze.

– Jest tylko jedna nadzieja. – mówiłam. – Jedna, jedyna.

– Jaka? – spytał z nerwowym uśmiechem.

– No cóż, mam tutaj amulet, który postanowiłam wręczyć pięciu pierwszym osobom, które do mnie przyjdą. Talizman ten może sprowadzić nieszczęście na głowę twojego wroga. Kosztuje tylko pięćdziesiąt centów.

Peyton rozpaczliwie sięgnął pod togę do kieszeni spodni.

– Mogę już nie mieć pięćdziesięciu centów.

– To pożycz.

– Zaczekaj – powiedział szybko. – Coś może wyskrobie. – Wyciągnął cztery dziesięciocentówki, jedną pięciocentówkę, monetę pięciopensową i położył je na stoliku.

Wręczyłam mu amulet i odezwałam się tajemniczym, ochrypłym głosem:

– Musisz nosić ten naszyjnik przez dwa tygodnie. Tylko pod tym warunkiem będzie ci służył. Nie zawieź!

Zafascynowany Peyton położył naszyjnik na dłoni i oglądał go z uwagą.

– Jak to działa? – spytał. – Czy ta rzecz naprawdę sprowadzi nieszczęście na mojego wroga? Czy ciebie też coś takiego chroni?

– Nie wiem. Nawet Kasandra nie w pełni rozumie moce drzemiące w czarnym amulecie.

– A co znaczy ta maleńka, czerwona dłoń?

Zniżyłam głos.

– Na to pytanie odpowiedzię mogą wyłącznie członkowie Braterstwa Czerwonej Ręki. – Gestem dłoni odprawiłam Peytona. – Idź już, dziecko. Kości Kasandry przemówiły.

Peyton opuścił namiot. Wyglądał jak kot, któremu pozwolono dobrać się do akwarium pełnego rybek.

– No i dobrze – mruknęłam, kiedy opadła za nim kłapa namiotu.

Miałam tylko nadzieję, że do kąpeli Peyton będzie jednak zdejmował medalion. Jeśli czarny lakier złuszczy się, Mark, Bix, Fuzzy i ja będziemy ugotowani.

Z najwyższym trudem skoncentrowałam uwagę na rozmowach z kolejnymi klientami, ale trzy pozostałe amulety rozeszły się jak ciepłe bułeczki. Okazało się, że każdy ma nieprzyjaciela wartego wydatku w wysokości pół dolara.

Przy piętnastym kliencie usłyszałam dochodzące z zewnątrz krzyki i natychmiast zrozumiałam, że to puściła spinka Marnie.

W chwilę później w namiocie pojawił się Bix ze szklanką soku z winogron.

– Mark prosił, żebym ci to przyniósł – oświadczył. – Powiedział, że na pewno chce ci się pić. – Mówił to tonem człowieka, który nie dba o to, czy jest głodny albo spragniony. – Słyszałaś ten krzyk i odgłosy zamieszania? To z Marnie Nichols opadła toga.

Poczułam wyrzuty sumienia. Weszłam w rolę Kasandry na tyle, że zapomniałam, iż uroczą Katy Callahan powinna ostrzec, Marnie, iż rozpina się jej spinka.

- I co? – zapytałam.
- Natychmiast chwyciła, opadające prześcieradło i się nim zakryła. Potem poszła do łazienki w towarzystwie stu innych dziewcząt. Chyba wszystkie teraz pozakładały podwójne spinki. Pięknie opadło z niej to okrycie. – Umilkł na chwilę rozkosznie rozmarzony. – A co z Peytonem?
- Strasznie napalony. Był moim drugim klientem i od razu połknął haczyk. Bix pochylił się w moją stronę i zniżył głos.
- Ale na pewno dałaś mu właściwy medalion?
- Nie martw się. Trzymałam go osobno. Na pewno dostał właściwy.
- Bix przeciągnął niespokojnie palcami po włosach.
- Nie widziałaś Celi?
- Nie – odparłam, obrzucając go współczującym spojrzeniem. Właściwie mogłam mu powiedzieć, że Celi nie interesują przepowiednie. Ktoś, kto pracuje tyle co ona, nie musi bać się przyszłości. – Nie martw się, Bix. Ona dojdzie do siebie. A jak zakończymy porachunki z Peytonem, osobiście do niej pójde i wszystko wyjaśnie.
- Mam pomysł... – zaczął Bix.
- Opowiesz mi o nim później. Teraz lepiej idź. Klienci bardzo się niecierpliwą. Dziękuję za sok.
- W porządku – odparł Bix cofając się do wyjścia. – Pogadamy później.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W niedzielę po południu mama zabrała Caroline na przedstawienie „Piotruś i wilk”. Pojechałam z nimi i wysiadłam przy Brendleyu.

– Jak będziesz chciała wrócić, kochanie, to zadzwoń po tatę – powiedziała mama. – Do tego czasu chyba już upora się z raportami. A jeśli nie będzie go w domu, zadzwoń do biura.

– Nie martw się, mamó. Poradzę sobie. Odwiezie mnie któryś z chłopców – odparłam.

W kawiarni, przy białym, okrągłym stoliku siedzieli tylko Fuzzy, Bix i Mark, najwyraźniej nie był to już sezon na lody. Jasne, metalowe krzesła z oparciami w kształcie serca i różowym obiciem zupełnie nie pasowały do szarego, pochmurnego nieba widocznego za oknem. Zamówiłam szklanek gorącej czekolady i podeszłam z nią do chłopców.

Bix pomagał Markowi uporać się z porcją lodów bananowych – rzecz niesłychana – a Fuzzy z nieprawdopodobnym apetytem pałaszował koktajl czekoladowy. Pomyślałam, że Mark denerwuje się rolą, jaką ma odegrać w „Żądle - 2”.

– Czego się martwisz, chłopie – mruknął Fuzzy. – Nie trać ducha. Bądź zimny i zachowuj się naturalnie.

Mark odłożył łyżeczkę i z odrazą popatrzył na lody.

– Prawdę mówiąc nie jestem pewien, czy temu podołam. Może lepiej, żeby zrobił to ktoś inny.

– Siedzimy w tym po uszy – odrzekłam. – A tylko ty i ja mamy lekcję z Peytonem. A ponieważ to ja sprzedałam mu medalion, nie mogę zrobić

reszty.

– Wu-ef – odezwał się nagle Mark. – Fuzzy, przecież masz z Peytonem lekcje wu-efu.

– Wu-ef odpada – odparłam. – Za dużo osób, zbyt wiele zamieszania. Nasz plan mógłby nie wypalić. To musi stać się na łacinie. Nie mamy wyboru. Ale nie przejmuj się. Musisz tylko potrącić Peytona, jakbyś przypadkowo stracił równowagę, chwycić za plastikowy medalion i urwać go. To wszystko. Uda ci się na pewno.

– Czy ja wiem? – westchnął ciężko Mark. Fuzzy uśmiechnął się z dumą.

– Do tego potrzeba nerwów – oświadczył. – Nerwów ze stali. – Uderzył dłonią w blat stolika tak mocno, że podskoczyły naczynia. – Tak, nerwów i charakteru. Chciałbym to zrobić za ciebie, Mark, ale nie chodzę na łacinę.

Słowa Fuzzy’ego puściłam mimo uszu.

– Mark, tylko ty możesz to zrobić – powiedziałam twardo.

– Bo jestem duży – odparł z goryczą. – Duży i niezdamy. Jak zderzę się z Peytonem, nikogo to nie zdziwi. Powiedzą: gamoń!

Nigdy jeszcze nie widziałam go w tak ponurym nastroju. Ogarniał mnie niepokój.

Bix nerwowo wiercił się na krześle. Byłam pewna, że wini siebie za to, że wpakował nas w tę aferę i teraz na dodatek musi się trzymać od wszystkiego z daleka.

– Skoro Mark nie czuje się na siłach, może ja jakoś sprowokuję Peytona – powiedział.

– Daj spokój – mruknął Mark, mieszając ponuro łyżeczką w lodach. – To do bani. Peyton nie pozwoli ci się do siebie zbliżyć. Zrobię to, Bix. Nie zwracajcie na mnie uwagi. Boję się, ale do jutra mi przejdzie.

Fuzzy poklepał go po plecach.

– Nos do góry, Mark. Wszystko pójdzie dobrze.

Mark popatrzył na lody jak skazaniec na ostatni posiłek.

– Pewnie – burknął.

Ustaliliśmy ostatnie szczegóły i oznajmiłam, że muszę wracać do domu.

– Czy ktoś mnie podrzuci? – zapytałam.

– Pewnie – odparli jednocześnie Bix i Mark, po czym Bix szybko dodał.

– Ja pojedę z tobą. Musisz mi dać... książkę. Wiedziałam, że Bix chce porozmawiać o Celi, ale czułam rozczarowanie. „Tak bardzo chciałam być przez chwilę z Markiem, podtrzymać go na duchu, powiedzieć, że wierzę w niego.

Wyszliśmy na parking. Kiedy wsiadałam do auta Bixa, Mark przesłał mi tęskne spojrzenie. Czułam się jak przepuszczona przez wyżymarkę.

– Trzymaj się, Mark! – zawołałam. – Wierzę w ciebie!

Bez słowa wsiadł do studebakera.

Bix skrzył w Mulberry Avenue i natychmiast podjął temat:

– Myślałem o Celi – zaczął zdecydowanie.

– A ja boję się o Marka – odparłam. – Wygląda nietęgo. Czy zauważyłeś, że nawet nie tknął lodów bananowych? Może powinniśmy odłożyć akcję na później?

– Markiem się nie przejmuj – powiedział z brutalną szczerością. – Z nim tak jest zawsze. Musi się ze wszystkim oswoić... Zastanawiałem się ostatnio nad Celią i nad tobą. Obserwuję, jak działasz – na zimno, z wyrachowaniem, planowo. To budzi mój podziw. Dzięki tobie jutro po południu będziemy mieli Peytona w garści. I dlatego pomyślałem sobie, że z Celią też muszę zacząć działać planowo. – Uśmiechnął się. – Nie ty jedna masz patent na pomysły.

– A na czym polega twój pomysł? – spytałam zaniepokojona.

– Muszę zrobić tak, żeby zaczęła być zazdrosna.

– To niebezpieczne – odparłam szybko. – Ponadto najpierw skończmy z Peytonem. Nie łapmy dwóch srok za ogon.

– Mam już dosyć czekania! – wykrzyknął zbolalym głosem Bix. – Nic, tylko czekam i czekam. Zadzwoiłem do Celi. Rozmawiała ze mną, jakbym proponował jej subskrypcję jakiegoś tygodnika. Nie wytrzymam dłużej. Posłuchaj, przecież teraz wszystko zależy od Marka. Teraz on musi działać. Nie ma więc sensu, żebym siedział z założonymi rękami. Muszę coś zrobić. Przecież sama mówiłaś, że powinienem się zachowywać tak, jakby nie zależało mi na Celi.

– N...no tak – odpowiedziałam z pewnym wahaniem.

– A widzisz. Jeśli zacznę spotykać się z jakąś inną dziewczyną, Celia pomyśli, że wywietrzała mi z głowy. I wtedy może zacznie jej na mnie zależeć.

– Może – odparłam czując, że wraca mi humor. – Dlaczego nie?

Zaświtało mi w głowie, że jeśli Bix zainteresuje się inną dziewczyną, zacznie widzieć wszystko we właściwych proporcjach, a mnie da święty spokój. Następnego dnia bowiem, na szóstej lekcji, Mark miał ostatecznie rozprawić się z Peytonem i do tego czasu nie chciałam zwracać sobie głowy sprawami Bixa.

– Jest tylko jeden drobny problem. – Bix wyraźnie potrzebował mojej kolejnej rady.

– Nie mów, że żadna nie chce się z tobą umówić. W to nie uwierzę.

– Nie o to chodzi. – Sprawiał wrażenie zażenowanego. – Problem polega na tym, że dziewczyny, jeśli już zaczynam z którąś się spotykać, stają się namolne. To bardzo kłopotliwe. Bez przerwy wydzwaniają do mnie do domu i nie dają mi spokoju.

Przyznaję, że takie zachowanie dziewcząt zawsze mnie drażniło. Bix nieraz

mówił mi, że dziewczęta odstręczają go tym, że przy najmniejszej zachęcie z jego strony lecą do niego jak muchy do miodu. Dlatego niecodzienne zachowanie Celi wzbudziło w nim tak ogromne zainteresowanie. Ale jak dotąd to Bix właśnie był namolny i odstręczał od siebie Celię. Jeśli wszystko to działało na tej właśnie zasadzie, ciekawa byłam, w jaki sposób ludzie łączą się ze sobą.

– Więc zapomnijmy o tym – rzekłam szybko. – Poza tym uważam ten pomysł za bardzo ryzykowny.

– A gdybyś to ty była tą dziewczyną?

– Ja?

– Nie proszę o dużo, Katy. Pomóż mi. Chcę, żeby Celia myślała, że interesuję się tobą. To wszystko.

– Jak mam ci pomóc? – zapytałam.

– Obejmę cię i pocałuję. To wszystko. Proste, prawda?

– Nie – odparłam zdecydowanie.

– Zrobimy to na przerwie między drugą a trzecią lekcją w pawilonie A. Celia wychodząc z pracowni chemicznej wpadnie prosto na nas.

– Nie. Uważam, że to poroniony pomysł.

– Posłuchaj, proszę o tak mało. Mam u ciebie dług wdzięczności. Ostatecznie to ja nauczyłem cię prowadzić samochód.

Choć musiałam przyznać, że to głównie dzięki niemu mam prawo jazdy, takie postawienie sprawy nie wydało mi się uczciwe.

– Poza tym lubisz mnie, prawda? – ciągnął Bix.

– Pewnie, że cię lubię. – Nie byłam już tego taka bardzo pewna.

– Więc zgadzasz się, żebym cię raz pocałował?

– Celi się to nie spodoba – ostrzegłam.

– O to właśnie chodzi.

– I nie jest to uczciwe.

Bix tylko pogardliwie parsknął.

– Mam złe przeczucia – dodałam. – Bix, wróćmy do tego tematu jutro po południu, dobrze? Na razie mamy inne sprawy na głowie.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo jest to dla mnie ważne – kusił. – Ile zajmie nam to czasu? Pięć minut?

– Tu nie chodzi o czas – mruknęłam.

Nie do wiary, ale w końcu uległam jego namowom. Stało się to wbrew mojej woli. Próbowałam go przekonać, że całowanie się na korytarzu liceum w Hampstead jest po prostu niebezpieczne, tłum uczniów może nas stratać.

Bix jednak upierał się, że o to właśnie chodzi. Całowanie się na szkolnym korytarzu jest czymś tak niezwykłym, że na pewno przyciągnie uwagę Celi.

Choć nie byłam do końca przekonana do tego pomysłu, zgodziłam się dla świętego spokoju. Zaznaczyłam tylko, że jeśli jeszcze raz usłyszę słowo

„Celia”, zacznę wyc.

Ale w poniedziałkowy ranek, kiedy Mark tradycyjnie podwiózł mnie do szkoły, nie wiedziałam, które z nas wygląda gorzej.

– Dobrze się czujesz? – spytałam, kiedy popatrzyłam mu w twarz. – Nie zawalisz sprawy?

– Nie ma mowy.

– Jeśli nie czujesz się na siłach, możemy wszystko o dzień czy dwa przełożyć.

– Powiedziałem, że to zrobię. Czy... czy Bix odebrał od ciebie książkę?

– Książkę? ...Och, tak, odebrał.

Kiedy przypomniałam sobie o pomyśle Bixa, poczułam, że żołądek podchodzi mi do gardła. Zupełnie jakbym znalazła się w zjeżdżającej gwałtownie windzie.

Z pewnością, gdybym wykazała więcej woli i charakteru, nie pozwoliłabym wmówić sobie takiej głupoty. Co powiedziałby na to Mark? Z pewnością uznalby, że jestem kompletną idiotką i, co gorsza, miałby rację.

– Zastanawiasz się, czy dam radę? – spytał Mark. Twarz miał białą jak kreda. – Poradzę sobie. Kilkakrotnie przeciwczyłem ten manewr z Fuzzym.

Ujęłam go za dłoń i lekko ją ścisnęłam.

– Musi się udać. Wierzę w ciebie.

Moje słowa nie podniosły go na duchu. Przeciwnie, Mark wyglądał jeszcze gorzej.

Pierwsze dwie lekcje wlokły się jak ślimak. Pod koniec drugiej wstałam i oświadczyłam panu Hatchardowi, że muszę wyjść, żeby poprawić szkła kontaktowe. Naturalnie żadnych szkieł nie poprawiałam, poszłam na spotkanie z Bixem przed pracownią chemiczną pana Bena. Musieliśmy tam być przed dzwonkiem.

– Cudownie, że jesteś – powiedział Bix. Ku memu zaniepokojeniu sprawiał wrażenie niebywale z siebie zadowolonego.

– Nie musisz mnie całować przed dzwonkiem – powiedziałam oschle.

Kiedy jak zwykle denerwująco zabrzniał dzwonek i na korytarz zaczęli wysypywać się uczniowie, Bix natychmiast przytulił mnie, objął i zaczął całować. W pierwszej chwili zdziwiłam się, że nikt na nas nie wpadł, ale natychmiast przypomniałam sobie, że w szkole w Hampstead wszyscy uważali, żeby nie potrącić Bixa.

Wypuścił mnie z objęć. Nie było to wcale aż tak przykre, pomyślałam. Nikt nas nie stratował. Żyłam! Spojrzałam w stronę pracowni chemicznej pana Bena. W drzwiach, niczym dwa słupy soli, stali Celia i Mark. Szybko spuścili głowy i pośpiesznie odeszli.

Bix wybuchnął śmiechem.

– No i co? – zapytał. – Metcalf myśli, że coś ze sobą kombinujemy.

Widziałś wyraz jego twarzy?

- Okropnie śmieszne – odparłam lodowatym tonem.
- A Celia była najwyraźniej bardzo poruszona, prawda?
- Możliwe – mruknęłam.

Wiedziałam już, że do końca życia nie wybaczę Bixowi.

Klepnął mnie w plecy.

- To właśnie w tobie cenię, Katy. Nie jesteś namolna.

Nie miałam zielonego pojęcia, że Mark chodzi na chemię z Celią. Chciałam natychmiast za nim pobiec i wszystko wyjaśnić. Nie mogłam czekać. Ale, niestety, przede wszystkim musiałam dotrwać do szóstej lekcji.

– Dzisiaj zajmiemy się stopniowaniem przymiotników – oznajmiła panna Hayes, kiedy weszła po dzwonku na szóstą lekcję. – Przed jutrzejszą klasówką przyda się to wszystkim.

Najcudowniejszą rzeczą w pannie Hayes było to, że bez trudu dawało się przewidzieć, co zrobi. Jako nauczycielka łaciny była osobą koszmarnie nudną, ale idealnie pasowała do mojego planu. Miała zwyczaj zaczynać wywoływanie do tablicy uczniów z pierwszych rzędów, a to znaczyło, że Peyton i Mark zostaną wezwani jednocześnie, na tym właśnie zasadzał się mój plan.

Miałam tylko nadzieję, że i dzisiaj panna Hayes nie odstąpi od swego zwyczaju.

– Alanie – powiedziała. – Proszę napisać nam stopień równy, wyższy i najwyższy przymiotnika *facilis*. Peyton, zrobisz to samo z przymiotnikiem *liber*. Mark, proszę o *pulcher*. Jason, ty napiszesz trzy stopnie przymiotnika *acer*, a Barry – *bonus*. – Obrzuciła tablicę krytycznym spojrzeniem. – Mam nadzieję, że się to wszystko zmieści – dodała. Mówiła to w każdy poniedziałek, prawdopodobnie od czasów, kiedy Noe wbijał pierwszy gwóźdź w Arkę.

– Czy możemy zamienić się miejscami – szepnęłam do Marcy Dotson. – Ze swojego niezbyt dobrze widzę tablicę.

Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem, ale bez słowa przełożyła zeszyt na moją ławkę, a ja przesiadłam się na jej miejsce. Byłam bliżej pola akcji.

Peyton wstał bez entuzjazmu, jak ktoś dla kogo stopniowanie przymiotnika *liber* stanowiło największą zagadkę wszechświata. Widząc, że Richardson podnosi się z miejsca, Mark, żeby zyskać na czasie, upuścił na podłogę długopis i nerwowo zerknął w stronę podnoszącego się Peytona.

Kiedy ten już wstał, potężny Mark ruszył niezgrabnym truchtem i wpadł na niego z impetem. Peyton krzyknął, Mark błyskawicznie wyciągnął w jego stronę ramię, jakby chciał złapać równowagę. Chwycił za naszyjnik z czarnych paciorków i znów się zachwiał. Żyłka z nanizanymi paciorkami pękła i amulet upadł na podłogę.

Zatrask z miękkiego plastiku pękł i medalion się otworzył.

– Idioto, co zrobiłeś?! – wrzasnął histerycznie Peyton. – Zniszczyłeś mój amulet!

W różowym wnętrzu medalionu znajdowała się marihuana, część jej wysypała się na ziemię, ale większość pozostała w środku. Narkotyk zawilgotniał w doniczce z kwiatami.

Niczego nieświadoma panna Hayes sprawdzała na tablicy dokonane przez Alana stopniowanie przymiotnika *facilis*.

Zrozumiałam, że muszę przejąć inicjatywę, gdyż w przeciwnym wypadku zaabsorbowana gramatyką nauczycielka nie zauważyłaby marihuany.

Peyton, który już najwyraźniej doszedł do siebie, zamierzał właśnie ponownie wstać z ławki. Wystarczyłoby mu sekunda, żeby zgarnąć z podłogi medalion i ukryć wszelkie dowody.

– Matko jedyna! – wykrzyknęłam. – Przecież to marihuana! Naprawdę, marihuana! Wygląda tak samo jak zielsko, które widziałam na slajdach w zeszłym roku na lekcji o narkotykach.

Mark niby przez przypadek stanął przed Peytonem tak, że ten nie mógł się ruszyć. Oczy całej klasy zwrócone były na leżący na ziemi naszyjnik i suche liście.

Panna Hayes odłożyła podręcznik, podeszła szybko do medalionu i obrzuciła go podejrziwym wzrokiem.

– To tylko jakieś ziola! – zawołał Peyton. – Zapewne włożyło je tam Bractwo Czerwonej Ręki.

Panna Hayes ze świstem wciągnęła powietrze w płuca. Najwyraźniej wyobraziła sobie, że Bractwo Czerwonej Ręki jest miejscowym odgałęzieniem mafii. Szybko jednak odzyskała panowanie nad sobą, wzięła z biurka kartkę papieru i ostrożnie wsunęła ją pod medalion. Następnie schowała go do koperty, polizała jej brzegi i zakleiła.

– Co pani robi? – zaskowyczał Peyton.

– Obawiam się, Richardson, że muszę to oddać do analizy.

Podpisała się na kopercie, a ja przez chwilę zastanawiałam się, czy łagodna panna Hayes przypadkiem w nadgodzinach nie pracuje jako agentka policji. Sprawiała wrażenie, że bez wahania wystąpiłaby przed sądem jako świadek.

– Ależ nie może pani tego zrobić! – awanturował się Peyton.

Panna Hayes popatrzyła na niego zza okularów.

– Otóż mylisz się, mój drogi. – Złożyła kopertę i schowała ją do torebki. – A teraz, kto na ochotnika napisze nam na tablicy trzy stopie przymiotnika *facilis*?

Klasa była jednak zbyt przejęta i nie interesowało ją stopniowanie, przymiotników. Nie wiem, w jakim stanie psychicznym znajdował się Peyton, ale ja, kiedy wreszcie rozległ się dzwonek, byłam kłębkim nerwów. sposób,

w jaki panna Hayes podpisała kopertę spowodował, że dostałam gęsiej skórki. Przyszło mi do głowy, że i ja mogę być zamieszana w tę sprawę. Naturalnie udowodnię, że sprzedawałam pięć medalionów i były one puste. Właśnie dlatego kupiłam ich pięć! Ale mogli wzywać mnie na świadka! Krzywoprzysięstwo? A może lepiej wzywać prawdę? Czułam się paskudnie!

Po lekcjach pędem udałam się na parking. Chciałam porozmawiać z Markiem w cztery oczy. Ale jego samochodu nie było. W pierwszej chwili sądziłam, że pomyliłam miejsca. Potem uświadomiłam sobie, że na szkolnym parkingu nie było wolnych miejsc. Mark po prostu odjechał beze mnie.

– Katy – usłyszałam kos Fuzzy’ego. – Odwiozę cię do domu. Mark nie miał czasu.

– Co mu się stało? – spytałam, wsiadając do jego auta. – Czemu tak nagle odjechał?

Fuzzy wzruszył ramionami.

– Dentysta czy coś w tym rodzaju. Nie wiem. Zostawił mi za wycieraczką wiadomość: „Odwieź Katy do domu”.

Kiedy wyjechaliśmy z parkingu, Fuzzy spytał cicho:

– I jak poszło?

– Dokładnie tak, jak zaplanowaliśmy – odparłam. Wyciągnęłam się w fotelu. Byłam kompletnie skołowana.

Fuzzy roześmiał się.

– Chciałbym widzieć twarz Peytona. Była chyba zielona jak szczypiorek.

Nie wiem, czy ktoś mógł wyglądać gorzej niż ja. Z domu natychmiast zadzwoniłam do Marka, ale nikt nie odebrał telefonu.

Wsiadłam więc do samochodu i pojechałam do Bixa.

– Bix – powiedziałam ostro, kiedy tylko stanął w drzwiach. – Znajdź Marka i powiedz mu, że nasz pocałunek był tylko dowcipem.

– Jezu Chryste! Po co ten cały raban?

– Nie kłóć się. Zrób po prostu to, o co cię proszę.

– Hej, czyżbyś ty i Mark...

– Nie odbiera telefonu. Nie wiem, gdzie jest – powiedziałam wylamując sobie palce.

– Zapewne studiuje w lustrze swoją twarz – odparł Bix.

Ton jego głosu sprawił, że poczułam do niego jeszcze większą niechęć.

– Dobrze, po prostu go znajdź – rozkazałam. – I powiedz, że muszę z nim porozmawiać. Och, Bix, jestem kompletnie załamana.

– Uspokój się – rzucił szybko, zamykając drzwi i wychodząc na dwór. – Jak poszło z Peytonem?

– Zgodnie z planem... Posłuchaj, tracimy czas. Znajdź Marka. Czekam na niego w domu!

Następna godzina była najdłuższą w moim życiu, dłuższa nawet niż ta,

kiedy w drugiej klasie szkoły podstawowej czekałam, żeby w przedstawieniu o sposobach odżywiania się wypowiedzieć kwestię: „Jestem wapniem i dzięki mnie mamy silne kości”. W końcu, kiedy już we wszystko zwątpiłam, przed dom zajechał niebieski studebaker.

– Cześć, mamgo! – zawołałam chwytając kurtkę. – Wychodzę!

– Przecież zaraz będzie kolacja!

– Nie jestem głodna – wyjaśniłam i jak burza wybiegłam z domu. Nie czekałam, aż Mark poprosi, żebym wsiadła do samochodu. Po prostu otworzyłam drzwi i wskoczyłam na fotel. Siedziałam w milczeniu i ciężko oddychałam. W końcu Mark popatrzył na mnie z figlarnym błyskiem w oczach.

– Bix powiedział, że musisz ze mną porozmawiać.

– Och, Mark – prawie zaszlochalam. – Co będzie, jeśli wezwą mnie na świadka? Mogą mnie oskarżyć o krzywoprzysięstwo. Widziałeś, jak panna Hayes podpisywała kopertę? Wiesz, dlaczego to zrobiła? Bo w sądzie musi udowodnić, że zawartość koperty jest tą sama, którą podniosła z podłogi.

Mark poklepał mnie po plecach.

– Tym się nie przejmuj, Katy. Sprawa nie trafi do sądu.

– A skąd masz tę pewność?

– To drobnostka. Nie zapominaj, kim jest stary Richardson. Poradzi sobie. Peytona przeniosą po cichu do jakiejś prywatnej szkoły, która zajmuje się takimi właśnie gagatkami z bogatych rodzin. Daję ci na to słowo honoru.

– Naprawdę tak uważasz?

– Pewnie. – Włączył silnik. – Chcesz pojechać na gorące precelki?

– Oj, tak. Bardzo chcę.

Ruszyliśmy na północ w stronę promenady.

– Katy, myślałem, że ciebie i Bixa coś łączy – odezwał się nieoczekiwanie Mark. – Caroline kilka razy mówiła mojej siostrze, że Bix jest twoim chłopakiem.

– Chyba załatwię Caroline dom dziecka – mruknęłam ponuro.

– Nie mogłem w to uwierzyć – mówił Mark. – To po prostu nie miało sensu. Ale tam, pod pracownią chemiczną... no cóż, byłem lekko zaskoczony.

– Zrobiliśmy ten cyrk pod kątem Celi.

– To samo mówił Bix.

– Co za dzień! – jęknęłam. – Coś straszego!

– Czy nie jesteś zanadto wymagająca? – spytał Mark, lekko krzywiąc usta.

– Wykończyłaś Peytona, napisałaś na tablicy trzy stopnie przymiotnika *felix* robiąc tylko dwa błędy, całowałaś się z najprzystojniejszym chłopakiem w szkole. Czegóż ty jeszcze chcesz?

– Mam już dosyć tych intryg – westchnęłam. – Nie interesują mnie sprawy innych ludzi.

– Potrzeba ci gorących precelków – oświadczył beztrzesko Mark.

– Tak myślisz?

– Mnie pomagają – odparł.

Okazało się, że miał rację. Sprawy się wygładziły. Następnego dnia Peyton po prostu zniknął. Dużo później dowiedzieliśmy się, że wstąpił do szkoły wojskowej pod wezwaniem Świętego Mateusza.

Kiedy wieczorem Bix zadzwonił do Celi, ta wybuchnęła płaczem. Powiedziała, że nie jest w stanie pracować i nigdy nie zasiądzie w trzech pierwszych krzesłach w Allstate Band. Bix zaoferował się, że natychmiast do niej przyjedzie. We środę po południu zobaczyliśmy ich w parku, jak szli trzymając się za ręce.

Na ten widok Mark popatrzył na mnie trochę niepewnie, jakby zastanawiał się, co o tym sądzi. Wiedziałam już, co do mnie czuje i doszłam do wniosku, że ma kompleksy i uważa się za mało atrakcyjnego. Zapewne brało się to stąd, że przez całe lata przeglądał się w witrynach mijanych sklepów, a obok niego siedł Bix.

Wsiadłam do studebakera i zamknęłam drzwi. Mark wślizgnął się za kierownicę.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że sprawy między Bixem a Celią ułożyły się tak pomyślnie – oznajmiłam.

Mark przekręcił klucz w stacyjce.

– A czy wiesz, że Cyganka powiedziała mi, że jakaś uroczą dziewczyna zwariuje na moim punkcie? Nie wiem, czy mogę wierzyć tej wyroczni.

– Cygankom trzeba wierzyć – powiedziałam. – Szklane kule, mądrość wschodu...

– Ba... – mruknął posępnie. – Ale ta dziewczyna cały czas utrzymuje, że jestem duży, niezdarny i niemrawy.

Zachichotałam.

– O tak, niemrawy jesteś na pewno.

Pochylił się i pocałował mnie. Przez przednią szybę samochodu ujrzałam Marnie Nichols, która przyglądała się nam ze zdumieniem. Była jedną ze stu osób, które widziały, jak w poniedziałek całowałam się z Bixem. No cóż, pomyślałam wyciągając się wygodniej w fotelu, jeśli ktoś będzie pytał, wyjaśnię, że mój nieodparty urok bierze się z amuletu, który kupiłam od Kasandry. Nauczyłam się bowiem jednego: ludzie uwierzą absolutnie we wszystko.
